

PRZESWIT

WIOSNA 1987 NR 44

NARODOWY INTERES

Po dłuższej przerwie wznowiamy wydawanie PRZESWITU - po dłuższej przerwie, a więc w odmienionych warunkach, wzbogaceni o nowe doświadczenia i przemyślenia. Kiedy zdecydowaliśmy się podjąć na nowo tę pracę, mieliśmy wyraziście zarysowany obraz tego, co naszym zdaniem stanowi istotę dramatu Polski u progu dwudziestego pierwszego stulecia. Zrób tego myślenia stanowi uświadomienie sobie dwóch kompleksów uwarunkowań polskiego losu: zagrożeń oraz kontekstu tych zagrożeń.

Pierwsze spośród zagrożeń dotyczy polskiej tożsamości i ma zarówno swój wymiar zewnętrzny, wynikający z przeżywania głębokiego kryzysu tożsamości przez świat, jak również - właściwości swoiste, stanowiące pochodną szczególnie dla nas niekorzystnych koniunktur. Drugie - to wewnętrzna słabość, dramatycznie niski stan sił Polski - zwłaszcza w ujęciu historycznym i w relacji do narodów ościennych: Rosjan i Niemców. Wreszcie trzecie zagrożenie to nędza strukturalna, nędza ustroju politycznego - nędza, która wprowadza destruktywną sprzeczność między istotnymi wartościami narodowej tożsamości, aspiracjami i oczekiwaniem znacznej części społeczeństwa a systemem państwa.

Tak rozumiane polskie zagrożenia pojawiają się na tle potężnych współczesnych procesów i zjawisk globalnych, które - jesteśmy o tym przeświadczeni - mają dla losów świata charakter przełomowy.

Po pierwsze, świat znalazł się u progu epoki, która charakteryzuje się przejściem przez ludzką myśl, wolę i sumienie funkcji istotnego czynnika równowagi biosfery i wobec tego stawia te atrybuty czowieczeństwa w nowym świetle oraz skłania do poddania rewizji - ukształtowaną w nowożytności - kategorii wolności wraz z jej ideologicznymi obiektywizacjami: liberalizmem i socjalizmem.

Po drugie, na globalną arenę dziejów wkracza nowa, przytaczająca swym potencjałem demograficznym i ogromem budzących się ludzkich aspiracji, siła - ludy Trzeciego Świata.

Po trzecie, epoka przemysłowa, która dokonała rewolucyjnych i nieobracalnych cywilizacyjnych, która rozwinęła i urzeczywistniła liberalizm i socjalizm, demokrację i totalitaryzm, która rozbudziła pragnienie sprawiedliwości, równości i wolności - ta epoka weszła w fazę schyłkową. Ludzkość stoi w obliczu nowego etapu rozwoju rozwoju opartego na "cywilizacji informatycznej" i własnych jej nowych systemach ideologicznych i strukturalnych.

Po czwarte, dzisiejszy świat charakteryzuje się narastającym niezrównoważeniem pomiędzy kierunkami, dynamizmem i globalnym charakterem przeobrażeń w nim zachodzących, a przestarzałym, nieadekwatnym i już niesfunkcyjnym ładem politycznym ustanowionym w następstwie drugiej wojny światowej.

Dziejowa koincydencja polskich zagrożeń oraz przełomowych wydarzeń w świecie stanowi bezprecedensowe wyzwanie dla naszego narodu - wyzwanie, które albo wyzwoli twórczą energię Polaków, albo okaże się dopustem losu, pieczęcią klęski. Świadomość tego dylematu nieodparcie skłania ku uznaniu zasady integralności narodu za należne kryterium współczesnej polskiej myśli politycznej. Przyjęcie prymatu integralności narodowej nie jest świadectwem absolutyzacji idei narodu, stanowi natomiast wyraz uznania interesu narodowego - w obecnej chwili historycznej oraz w obecnym stanie kraju i jego międzynarodowym położeniu - za sprawę najwyższej wagi. Stanowi to zatem przejaw myślenia kategoriami strategicznymi, nie zaś - ideologicznymi. Natomiast w centrum naszej wizji niezmiennie pozostaje człowiek, ale przecież nie człowiek gatunkowy czy etniczny, owszem: w jakiejś mierze przedstawiciel ludzkości i nosiciel wartości uniwersalnych, nade wszystko wszakże człowiek-podmiot swoistej kultury, a więc uczestnik losów swojego narodu lepiący się własną, wyjątkową tożsamością.

Umacniać integralności Polski nie sposób inaczej, niż poprzez nieustanny rozwój wewnętrzny oraz skuteczną aktywność międzynarodową. Takie stanowisko przesądza

ciąg dalszy na str.2.

» PRZESWIT « rozmawia z LESZKIEM MOCZULSKIM

Bolesław Bystron: Spotkaliśmy się po raz pierwszy w 1975 r. na jakimś bankiecie. Wznoszono toasty na cześć żołnierzy Września i żołnierzy Armii Krajowej. Pan był chyba zastępcą naczelnego redaktora czasopisma "Stolica"?

Leszek R. Moczulski: A ściślej - kierownikiem działu historycznego.

B.B.: Identyfikowałem Pana wtedy z tym nurtem publicystyki, która mimo wszystko, w tej rzeczywistości usiłuje zmieścić narodowe tradycje i racje społeczne.

Spotkanie z Panem w 1977 r. dało mi bardzo dużo do myślenia. To było trzy lub cztery dni po tym, jak Pan wystąpił jako rzecznik prasowy środowiska byłych żołnierzy AK, które wtedy upominało się o prawa człowieka w Polsce. Na czym polegała ewolucja Pana postawy od 1975 do 1977 r.?

L.R.M.: Tu nie było ani przemiany, ani ewolucji, tyłko kwestia pragmatycznego wykorzystywania możliwości, jakie niosły czasy. Są cele, które uważam za niezbędne w zakresie tych celów możemy mówić o sobie /czy też mówią o nas inni/, że jesteśmy - czy też ja jestem - romantykiem. Ten romantyzm wyszedł z mlekiem, mar we krwi. W każdym razie istnieje we mnie od samego początku. Ale jest jeszcze kwestia realizacji. A w realizacji trzeba być zawsze pragmatykiem, a więc wykorzystywać możliwości.

W Polsce, do pewnego momentu, możliwości ludzi myślących jak ja, były bardzo ograniczone. "Nie mieścił się" Gdymy był człowiekiem PZPR-u, ale o przekonaniach rewizjonistycznych, to bym się oczywiście gdzieś "mieścił". Natomiast publiczne wychodzenie z przekonaniem otwarcie niepodległościowymi, pilsudczykowskimi, które mają w sobie a n t y r o s y j a - k o s i e i a n t y k o m u n i z m, byłoby wtedy drogą do samolikwidacji. Stąd, przez wiele lat działałem pragmatycznie, należało "mieścić się w ustroju", tzn. realizować to, co można w danych warunkach ustrojowych. Robiłem tylko tyle, ile mogłem. To mało w stosunku do moich aspiracji, ale tyle tylko mogłem.

Był to dla mnie długi okres, blisko 20 lat. Rozpoczął się w drugiej połowie lat 50-tych, kiedy zacząłem się trudnić publicystyką historyczną na łamach "Więsi". Potem przeszedłem do "Stolicy".

Mieliśmy do zrobienia bardzo dużo; musieliśmy nie tylko oddziaływać na społeczeństwo; więcej - przeciwstawić się poglądom, które stały się, niestety, dominujące. Było odejście od idei niepodległości. Przekonanie powtarzające się zresztą w historii po naszych klęskach narodowych, po Powstaniu Listopadowym, Styczniowym, tak

ciąg dalszy na str.2.

Ponadto w numerze :

MARCIN KRÓL	Dylematy liberalizmu	str.6.
TADEUSZ PIETRUCHA:	"Światopogląd naukowy"	str.11.
ANDRZEJ KORASZEWSKI:	Dokąd zmierza Szwecja?	str.13.
BOLESŁAW BYSTRON:	Panowie, rozwińcie się!	str.15.
FAUSTYN PIOTROWSKI:	Bawcie się, panowie	str.16.
Rozmowa z ANDRIEJEM JINIAWSKIM:	Inny sołżenicyn	str.16.
BOHDAN URBANKOWSKI:	Człowiek wśród legend /kontynuacja/	str.19.

NARODOWY INTERES

Ciąg dalszy ze str. 1.

dba o uznanie słuszności i skuteczności drogi ewolucyjnych przeobrażeń gospodarczych, społecznych i politycznych. Warunkiem ewolucyjnych przeobrażeń jest wypełnianie struktur treścią życia, nasilenie ich pracy, wyczerpywanie ich możliwości funkcjonalnych. W ten sposób dokonuje się niejako ich naturalna selekcja: bowiem dzisiaj, w epoce postępu empiryczny dowód braku właściwości rozwojowych systemu definitywnie pozbawia ów system innej żywotnej cechy: zdolności trwania. Żadna struktura nie może istnieć we współczesnym świecie poza rozwojem: ani naród ani ustroj państwa. Innymi słowy: rozwój pojmowany jako intensyfikacja i kumulacja pracy oraz życia duchowego i społecznego samostanie wymusza ewolucję struktur pod groźbą ich obalenia. W ten właśnie sposób pozytywny program rozwoju - rozumianego jako nieodzowny warunek zachowania integralności kraju - spłata się w organiczną jedność z programem reform i przeobrażeń społecznych i politycznych - przeobrażeń, co do których nie można jednak mieć pewności, iż potoczą się samoczynnie w pożądanym kierunku. O tym kierunku zdecydować dopiero mądrość, wola i energia społeczeństwa.

Myśl polityczna, jej poziom i kultura wysnascją jakość i rozwój życia społecznego i politycznego. Kulturowanie myśli politycznej w całym jej bogactwie i różnorodności powinno cięsnąć się należyta wolnością. Jej przesładowanie i dławienie jest - zwłaszcza w szczególnej sytuacji Polski - działaniem godzącym pośrednio w interes narodowy.

Wybitna złożoność, nieobliczalna dynamika i nieodgadniony potencjał sytuacji światowej, trudna do przewidzenia reakcja społeczeństwa podległego na wyzwanie czasu, a także nierozwinięty i nieprzystosowany do nowej sytuacji system pojęciowy i język polityczny - wszystkie te czynniki niezwykle trudnym zadaniem stworzenia funkcjonalnej i wyczerpującej politycznej wizji Polski.

Z tego też powodu nie przedstawiamy tu jakiegokolwiek, sankcjonowanego programu politycznego, owszem: pracę nad takim programem chcemy właśnie uczynić osiążalnością naszego pisma. Będziemy zatem poszukiwać spójnej, twórczej i realistycznej koncepcji przejścia Polski w stan integralnej zgodności warunków ustrojowych z narodową tożsamością, imperatywem rozwoju oraz z stanem wewnętrznym i sytuacją zewnętrzną Polski. Czynić tak będziemy w ramach chrześcijańskiej wizji świata i człowieka oraz chrześcijańskiego systemu wartości.

Takie to myśli i zamierzenia towarzyszą inicjatywie wznowienia PRZESWITU, towarzyszy jej także nadzieja, bez której te myśli pozostałyby jałowe, a nasza praca - pozbawiona sensu. Jest to nadzieja aktywnego współtworzenia pisma przez naszych dawnych i nowych Czytelników, Przejściowców i Autorów. Zapraszamy więc do współpracy, bowiem roboty jest w bród.

Już dzisiaj natomiast serdecznie dziękujemy wszystkim, którzy przyczynili się do wydania tego pierwszego po dłuższej przerwie numeru.

ROZMOWA Z L. MOCZULSKIM

Ciąg dalszy ze str. 1.

że po klęsce, którą poniesiśmy w okresie II wojny światowej i po niej, że my Polacy nie mamy szans jako Państwo niepodległe, że Niepodległość nie jest czymś, o co warto walczyć. Niektórzy uważali nawet, że jest to sprawa moralnie podejrzana. A już na pewno, że nie jest to sprawa opłacalna, nie jest realistyczna. Należy więc ją sobie "odpuścić", a sąjąc się innymi, np. stworzyć warunki codziennego bytowania, rezygnując z rzeczy wielkich. Była to o d m i a n a p o z y t y w i z m u, co sbył dumnie może nazywano n e o p o z y t y w i z m e m. A było i brakiem wyobraźni, głupotą, i tchórzostwem.

B.B.: Mówi Pan: My musieliśmy oddziaływać. Kto?

L.R.M.: Razem ze mną było wielu ludzi, młodszych i starszych. Pozostawialiśmy w więzi wspólnotowej. Była to przede wszystkim wspólnota przekonań, a także w pewnym stopniu, wspólnota organizacyjna.

Struktury organizacyjne mają to do siebie, że jak policja żapie kawałek ognia, to idzie tak daleko, aż zniszczy całą strukturę, więc, żeby nie dać się zniszczyć, nie można tworzyć swartych struktur. Natomiast można tworzyć to, co my nazwaliśmy strukturą chaotyczną.

Działy takie chaotyczne struktury od chwili, kiedy ludzie wyszli z więzień około 1956 r., niektórzy w 1955. Wychodzili w rozmaitym stanie. Byli to często starsi już panowie, chociaż niektórzy mieli wówczas dopiero 40 lat! Prawie bez wyjątku piłsudczycy, siedzieli w robocie niepodległościowej od lat, od wczesnej młodości. Byli też tacy, którzy zaczynali w końcu ubiegłego wieku, choć większość w Legionach, w POW, zaś młodzi jeszcze później w Armii Krajowej, w WIN-ie, a zwłaszcza w Stronnictwie Niezawisłości Narodowej - pił-

sudczykowskiej formacji powstałej bezpośrednio po II wojnie. Na czele Stronnictwa /w skrócie SNN, popularnie NN/ stał Profesor Płk. Wacław Lipiński, później zamordowany.

Ci, którzy przeżyli, a była to oczywiście mniejszość, bo większość została wymordowana albo znajdowała się w takim stanie zdrowia, że już nie była do niczego zdolna/, próbowali montować robotę na nowo i równocześnie szukali młodszych. Właśnie wśród tych młodszych znalazłem się i ja.

Niektórzy z ludzi, inspirujących nas w połowie lat 50-tych, żyją do dzisiaj. Najstarszy obecnie członek Konfederacji Polskiej Niepodległej, płk. Antoni Sikorski, który gdy tutaj do mojego mieszkania przychodzi, jest niesłychanie dziarski i obraża się, gdy mu proponuję, żeby windą jechał na pierwsze piętro, urodził się w roku 1893 i chodził do jednej klasy gimnazjalnej z "Grottem" Roweckim. Z tym, że był od niego o dwa lata starszy. Płk. Sikorski starcił bowiem dwa lata z powodu strajku szkolnego, który organizował w 1905 r. Razem byli w harcerstwie, razem w Legionach w I-szej Brygadzie, razem byli na wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. I pułkownik Sikorski jest do dzisiaj czynny.

Co prawda, jak się ma dziewięćdziesiąt parę lat, a za sobą walkę, która zaczęła się podczas strajku szkolnego w r. 1905, czyli 81 lat czynnej działalności niepodległościowej, to oczywiście ma się inne poczucie czasu i proporcji, niż my. Mówiąc o sprawach aktualnych, KPN-owskich, ci ludzie mają skojarzenia z POW. I jeżeli ktoś z tamtego pokolenia mówi: zrobiliśmy błąd, np. źle ustawiając sprawę organizacyjną - to często nie wiem, czy chodzi o błąd, który zrobiono w Polskiej Organizacji Wojskowej przed I wojną, czy może w harcerstwie przed II wojną światową, czy też w AK, w czasie II wojny, czy w KPN w 1982 r.?

Takich ludzi było wśród nas więcej. Sikorski był akurat serdecznym przyjacielem Grota-Roweckiego. Z bliskich współpracowników Grota, czy później Bora, mieliśmy w Konfederacji Polskiej Niepodległej zmarłych już pułkowników: Flutę-Gzachowskiego z Komendy Główniej Armii Krajowej i Filipa Szostaka, który był zastępcą szefa sztabu do spraw operacyjnych oraz szefem wydziału operacyjnego KG AK aż do kapitulacji Powstania Warszawskiego. Był też przejściowo adiutantem Piłsudskiego i prezydenta Wojciechowskiego, jeszcze przed wojną szefem referatu w Sztabie Generalnym.

Działał także w naszej formacji generał dr Roman Abraham. Zmarł w 1976 r. tuż przed naszym przejściem do jawnej działalności w sierpniu. Był moim bezpośrednim poprzednikiem w tej funkcji, którą teraz pełnię.

L.R.M. /do żony/: Może Krzysztofa /złięć/ by to interesowało? Poprosz go!

K.K. /złięć L.R.M. z kuchni/: Kończę obiad. I zaraz przyjdę.

L.R.M.: Opowiadał moje historie, które mogą cię bawić.

K.K.: Za chwilę przyjdę.

L.R.M.: Krzysztof jest mężem mojej córki. Zbiera wie domości o tradycji, a on i moja córka to już II pokolenie niepodległościowe. Weszli w życie po 1981 r. Ja współtworzę dziesiąte pokolenie niepodległościowe. Ci, którzy zaczęli przed II wojną światową, byli ósmym pokoleniem, a pierwsze pokolenie to Konfederacja Baracy.

Dlaczego mówię o tych powiązaniach personalnych? My wszyscy nie czujemy się kontynuatorami jakiegokolwiek tradycji, ani kimś, kto po latach nawiązuje do czegoś. K y s i e d z i m y " w s a n y m n u r o i e ". Żywym jeszcze żołykiem tego nurtu są starci koleodzy, którzy razem z nami dzisiaj robią KPN. Właśnie moja żona i córka pojechały, żeby zawieźć do dentysty starego członka Konfederacji Polskiej Niepodległej. Urodzony w 1901 r., w szarych na Rosjan na Wołyniu w 1916 roku dostał się do ich niewoli, a później, spiesząc tutaj, żeby walczyć, pieszo szedł przez Syberię. A i na Syberii też walczył. Potem szedł piechotą przez ogarniętą rewolucją Rosję, żeby dojść do Polski. Doszedł do frontu i zdażył jeszcze na końcówkę wojny polsko-radzieckiej 1920 r. I my - żywi, do nich - żywych - "doszlusowujemy". A zatem nie jest to sięgnięcie do tradycji. U mnie tu, na ścianie, wisi Piłsudski /do pokoju wchodzi złięć L.R.M. - p. Krzysztof K. i pozostaje do końca rozmowy/. Ja Piłsudskiego nigdy nie widziałem, ale człowiek, który w naszej strukturze organizacyjnej był "poniżej" mnie, był adiutantem Piłsudskiego dużo wcześniej, niż ja byłem na świecie! A z kolei jego syn - był moim "adiutantem", choć w Konfederacji słowo "adiutant" nie jest właściwe, bo my przecież nie jesteśmy formacją wojskową. Oto ciąg! I do tego ciągu ja w pewnym momencie tylko doszedłem.

B.B.: Ten ciąg w głąb, chociaż jest już w tej chwili jasno zinterpretowany, wymaga dopełnienia. Laska tę potrzebę dopełnienia w pytaniu nie wprost. Zawsze! Pan tkwił na początku lat 70-tych w takich środowiskach, jak np. dziennikarstwo. Współpracował Pan z Ministerstwem Obrony Narodowej, które było wydawcą Pana książek. Śdzie byli - socjologicznie rzecz ujmując - ułokowani ci ludzie, którzy tworzyli ów ciąg pokoleniowy?

L.R.M.: Jedni byli w wojsku, inni byli w dziennikarstwie, inni byli tak "spaleni", że mogli siedzieć ty

ko do domu, tak jak dr Abraham, który nie był w stanie nie robić oficjalnie, bo wszędzie był "spalony". Ja, oczywiście, byłem, gdzie mogłem. Niech Pan spojrzy, jaka była wtedy sytuacja. Trzeba energicznie, sprawnie, a więc w środkach masowego przekazu, a więc oficjalnie, przeciwstawiać się zalewowi nastrojów rezygnacji z aspiracji niepodległościowych czy godnościowych. Pole walki publicystycznej nie zawsze jest zwyciężone. Ale trzeba było być "wszędzie". I w wydawnictwie MON-u, i w dziennikarstwie. Oto przykład koniecznej pracy: interpretacja treści tzw. "polskiej szkoły filmowej". "Kanał", oglądany przez nas, to kanał zamknięty kratą Symbol to zbyt czytelny, żeby nie miał masowego oddziaływania. A "Eroika", "Lotna"? Działalność niepodległościowa sprowadzona do kretyńskiego gestu, bezsensu wszytkiego. Czy "Popiół i diament" - zrównanie racji moralnych kata i ofiary? Temu wszystkiemu - co niosły wybitne artystycznie filmy tamtych lat - trzeba się było przeciwstawić. Miałem to szczęście, jak Pan słusznie zauważył, że miałem kontakty z wojskiem, głównie w Wydawnictwie MON-u. Ale także byli ludzie, którzy musieli mieć kontakty z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych!! Marszałek Piłsudski powiedział: "Paniczki, dla Polski ręk do gówna nie chcecie kłaść!". Ja akurat miałem i mam lukusowe życie pod tym właśnie względem, ale są członkowie KPN, którzy go nie mają. Są tacy, którym się nie podaje ręki. Ja im podaję, w zamkniętym pokoju, w oddalonej miejscowości. Bo wiem. I oni wiedzą. Wiemy, o co walczyliśmy, i wiemy, co jest ważne. My nie jesteśmy ważni, ważne jest to, o co walczyliśmy. Dlatego odpowiadam wprost na Pana pytanie: trzeba było pójść wszędzie. Niektórzy założyli mundur i poszli do wojska. Inni - do dziennikarstwa. Możliwości, które były, staraliśmy się wykorzystywać. Były rozmaite: oto walka frakcyjna w PZPR. Zwalczają się dwa skrzydła? Świetnie. Najlepiej by było, żeby jedni drugich wzajemnie wykończyli. No, ale z reguły tak się nie dzieje. Byłoby to pójście na żywioł, a nie na działanie, które określimy jako nasze. Trzeba jednak wykorzystać tę ich walkę. Są tam tacy, którzy podbijają bębenek narodowy, więc korzystamy z nich. Są tacy, którzy krzyczą: "demokracja, liberalizm" - korzystamy z nich. Dlaczego tak robiliśmy? Bo trzeba było przyspieszyć zmiany. Żeby móc działać w Polsce tak, jak działamy w tej chwili: jawnie, musieliśmy doprowadzić do demokracji w PRL-u. Stąd też, jeżeli jacyś panowie, którzy przedtem łamali kości - obojętnie, czy to będą pociołki po berkanie, czy po moczarze - jeżeli dawali "możliwości parasola", trzeba było z tego parasola korzystać i korzystaliśmy z niego.

Występowaliśmy przeciwko treściom zawartym w filmach "szkoły polskiej". A kibice, słabo zorientowani w życiu duchowym Polski, patrzyli na to i ustawiali nas w jakiejś frakcji PZPR-u.

Inni spośród nas, gdy angażowali się w zupełnie inną dziedzinę walki, mogli być także utożsamieni z jakąś inną frakcją, np. liberałów w PZPR!

A myśmy wtedy nie próbowali nawet temu przeczyć. Nie potrzebowaliśmy się "odcinać", ponieważ pomyłka była dla nas bardzo wygodna.

Dzisiaj, kiedy minęło dużo lat, czytam z radością wywiad Andrzeja Wałdy, wielkiego na pewno reżysera. Stwierdza on, że nie miał racji w swoich ówczesnych filmach. To bardzo dobrze, że o tym dziś chce mówić. Cóż jednak za znaczenie dla czytelników miałoby jego dzisiejsze wyznanie, gdyby nie nasza publicystyczna kampania wtedy? Nigdy też nie patrzyłem na te filmy pod kątem artystycznym - nie patrzyłem, nie patrzę i nie będę patrzył. Pod kątem społecznych konsekwencji. Pod tym kątem, czy film pogłębia kryzys w społeczeństwie, czy pogłębia proces narastania niewiary we własne siły, wzmacnia przekonanie, że niepodległość jest rzeczą niepotrzebną, a może nawet szkodliwą?

Jest to przyzmat, przez który patrzymy na wszystko. Dlatego lata "chaotycznej struktury" były tak pożyteczne.

B.B.: Panie Leszku, zbliżyliśmy się do chwili, kiedy doszliśmy do przekonania, że trzeba strukturę zacieśnić. To stało się w 1976 r.?

L.R.M.: Niezależnie, ponieważ strukturę zacieśniał już wcześniej. Mieliśmy dwa kolejne etapy działania.

Pierwszy etap - przygotowawczy. Jeszcze nie można było rozpocząć jawnie zorganizowanej walki politycznej, ale mogliśmy oddziaływać na świadomość społeczną. Szczególnym narzędziem była publicystyka historyczna, a jej głównym zadaniem prostowanie karku Polakom, a nie mówienie, jak w filmach "szkoły polskiej", że jesteśmy narodem idącym od nieszczęścia do nieszczęścia, pokazywanie, że każda ofiara jest owocna, że nawet klasa może być twórcza, a niepodległość jest dobrem, za które warto oddać wszystko, ponieważ dopiero niepodległość pozwala na normalne życie.

Ten pierwszy etap miał przygotować kadry i koncepcje działania, z których teraz możemy korzystać. Miał być zamknięty wystąpieniem publicznym, które będzie otwartym przejściem od historii do współczesności o wymowie społecznej czy politycznej. A więc, m. in., musieliśmy wtedy wywołać skandal polityczny.

Taka koncepcja została stworzona dla mnie bardzo

dawno, bo w końcu lat 50-tych. Stworzyli ją ci, którzy inspirowali mnie w połowie lat 50-tych. Niech pan pamięta, że obracamy się w kręgu ludzi, którzy wprawdzie z czasem odchodzą i umierają, ale całe życie śledzą w robbie politycznej, całe życie organizują to i wiedzą, co trzeba robić. To jest - przez cały czas - robota profesjonalna.

Zakożenie więc było następujące: musi wyjść książka, która będzie skandalem, a równocześnie pokaże, że kończy się etap walki poprzez kształtowanie świadomości historycznej, zaś zaczyna etap walki politycznej. W latach 70-tych ułożyło się tak, że opublikowanie takiej książki przypadło akurat mnie. To była "wojna polityczna".

Zamknęła mi co prawda możliwość pisania o historii, ale dla innych była równocześnie sygnałem politycznym. Niektóre bowiem rzeczy zostały w niej powiedziane otwarcie, a przede wszystkim została otwarcie postawiona sprawa naszej Niepodległości i sprawa Związku Radzieckiego. Mogła się ukazać ze względów cenzuralnych dopiero po roku 1970. Ale ona mogła ukazać się także i dlatego, że doszliśmy do wniosku, iż jesteśmy w stanie przejść do montowania zorganizowanej działalności.

Książka wychodzi w 1972 r. Okres przygotowań organizacyjnych dla nas to lata 1973-1975/76. Ostatnie decyzje zapadają w roku 1975 i tworzymy zorganizowaną funkcjonalną strukturę. Ma ona z kolei przygotować utworzenie struktury jawnej.

W tym też czasie uozymy się posługiwać jakąś nazwą. Narodzila się jakby przypadkiem. Wspomniałem panu o Stronictwie Niezawisłości Narodowej, ale częściej mówiono nn, z małych liter. To było Stronictwo kadrowe, obejmowało głównie grupę ludzi z WIn-u, ale nie tylko. Po pewnym czasie trzeba było ten skrót rozszyfrować. I "rozszyfrowaliśmy" to sobie na Nurt Niepodległościowy. A wewnątrz Nurtu Niepodległościowego jest Formacja Niepodległościowa. W latach 1973-1975 przygotowana została struktura, która została nazwana "NN" - z dużych liter. Jej zadaniem było stworzenie czegoś jawnego i swartego. W ten sposób powstał Kuch Obrony Praw Obywatela. Powinno to trwać krócej, ale trwało dwa lata.

ROPCIO był jednak strukturą przygotowawczą. Wreszcie w 1979 można było ogłosić, że powstała Konfederacja Polski Niepodległej jako legalna, jawna działająca partia polityczna, która dąży do budowy III Rzeczypospolitej czyli Niepodległego Państwa Polskiego. A można to osiągnąć przez:

1. usunięcie radzieckiej hegemonii w Polsce, 2. likwidację hegemonii PZPR w ustroju państwowym i życiu społecznym w Polsce.

B.B.: Słuchając Pana, próbowałem zrozumieć ostatecznie społeczne i narodowe, w którym istniała i była ciągle odnawiana praktyka bicia się o byt niepodległy - to pozytywistyczne "kładzenie ręk do gówna".

Przed laty, kiedy spotkał się na Krakowskim Przedmieściu, w trzy dni po konferencji prasowej w mieszkaniu jednego z AK-owców, gdzie Pan wystąpił jako rzecznik prasowy ROPCIO, poszliśmy do kawiarni "Telimena" i wtedy powiedział mi Pan o czymś, co mnie zaszokowało jako swego rodzaju... romantyzm. Ale i swego rodzaju rozmach ideowy. Z ogromnym zainteresowaniem słuchałem Pana wywodu na temat fantastycznej wówczas dla mnie korelacji pomiędzy tym, co Pan musiał zrobić ogłaszając istnienie w Polsce ROPCIO, a sensem ideowym przemówienia Cartera, którym zainaugurował on swą prezydenturę. Analizował Pan szczególnie nurt europejskiej myśli politycznej zawarty w tym orędziu.

L.R.M.: Nie pamiętam.

B.B.: Mówił Pan o tym, że należy się spieszyć i natychmiast dać znać światu, że jest tu kraj, gdzie nawet jeszcze wcześniej od humanistycznej myśli europejskiej Grotiusa i Locke'a /na którą powołał się Carter akcentując ideę obrony praw indywidualnego/ powstaje myśl o równości i wolności, myśl Fryderyka Młodziewskiego. Mówił pan wtedy, że jeżeli natychmiast nie uświadomimy światu, iż jesteśmy niejako "tradycyjnie" zainteresowani prawami człowieka i obywatela, to stracimy możliwość zmiany obrazu Polski w świecie.

L.R.M.: Tak, oczywiście. Przypominam sobie. To było konieczne, ponieważ powstało wtedy, przed 1980 r., wyobrażenie o Polsce skrajnie inne, niż w okresie "Solidarności". W świecie - do 1979 r. - był pewien "image" polski, który wytworzał się w XIX w., zwłaszcza w II połowie, i który był bardzo popularny aż do I wojny

światowej. Ożył na nowo po II wojnie światowej, kiedy Polskę utopiono w wschodzie, w Rosji, Polskę utapiano w innej tradycji, innej cywilizacji, innej kulturze. Gdy dostaliśmy książkę Sołżenicyna "Sierpień 1914", wydaną na Zachodzie, zobaczyłem w niej mapkę. Jest na niej bezpośrednia granica między Niemcami i Rosją. Takie sygnały mieliśmy z Zachodu i dla wielu z nas istniała obawa, że możemy dać się wchłonąć, skoro w świadomości świata to się już niejako dokonało. To, co robiliśmy w latach 50-tych, 60-tych, jeżeli chodzi o walkę o Niepodległość w publicystyce, było powodowane tą samą obawą, że damy się wchłonąć. Nie ma większego nieszczęścia niż spełnienie tej obawy. My i inne narody przeżyliśmy rozmaite tragedie historyczne. Największą tragedią historyczną dla nas byłoby to, gdyby nas wchłonęto, gdybyśmy przestali egzystować, zetracili swoją osobowość, przestali być jedną z person ludzkości. A to groziło nam trzykrotnie:

W XII w., gdyby Mongołowie poszli dalej, zrobiliby z nas to samo, co z tymi, którzy mieszkali w Kijowie, tzn. nadający się do użytkowania ziemi popiół, albo to, co z tymi, którzy mieszkali nad Oką, tzn. azjatycką społeczeństwo. Wtedy, nawet przez Klęskę militarną, ocaliliby my się.

Po raz drugi groziło to w końcu XIX w., choć na szczęście kultura nasza wybroniła nas wtedy. Zrobili to Mickiewicz, Słowacki i później Sienkiewicz.

Po raz trzeci groziło nam to już za naszego życia. Bardziej nam to groziło po roku 1956 niż po roku 1945, gdyż dopóki istniał stalinizm, wszystko było jasne. Natomiast, gdy zaczęła się "zgoda narodowa" rozpoczęło się straszliwe zagrożenie, któremu właśnie my się przeciwstawialiśmy. To zagrożenie, to przede wszystkim sprawa nas, Polaków.

Ale jest też rzeczą bardzo istotną, czy nas widzi świat? A świat często nie widzi. Nie widzi Kurdów, którzy gdzieś tam rozpaczliwie giną na pograniczu turecko-irańsko-irackim. Świat ich po prostu nie widzi. I wtedy znacznie łatwiej jest zamordować naród! Musielibyśmy więc być dostrzegani przez nasz udział w światowym trendzie praw człowieka, tak mocnym jak kiedyś trendy reform dotychczasowej sprawiedliwości społecznej. Chciano wtedy, lat temu kilkadziesiąt, wciągnąć do poziomu ludzkości grupy społeczne, które zostały od niej odepchnięte, poniżej poziomu godnego człowieka. W tej chwili chodzi o to, żeby każda jednostka, podnieść do godności człowieka. To jest trend światowy. Musielibyśmy więc ogłosić istnienie RCPICIO nie tylko po to, żeby pokazać, iż my się dołączamy do tego, co w świecie jest ucywilizowane, ale że my jesteśmy od samego początku "gospodarzami terenu", bo mamy nie gorszy od innych "tytuł własności", bo mamy tutaj, na ziemiach polskich, znacznie większy niż inni postęp, gdyż od dawna mamy wolność i nietykalność - w genach. Od XV wieku. Nas nie wyzwoliła Wielka Rewolucja Francuska w XVIII w. Jesteśmy od XV w. wolni. Jestem od 1505 r. człowiekiem, którego wola stanowi prawo. Wola moja, moich współobywateli. Poprzeźdnie nasze pokolenia w tym się wychowały. A chciano nas tego pozbawić.

Co więc oznacza walka o Niepodległość? To walka o kraj, w którym będzie żyło "Nihil novi". To chcemy odzyskać - prawa człowieka i obywatela. Tylko odzyskać! Odzyskać to, co od tak dawna jest nasze! Stąd tak bardzo ważna jest sprawa, którą Pan mi przypomniał. Jedna rzecz to pozytywistyczna budowa kolejnych struktur a druga - skrzydło, jakim "romantyczne" są wartości, o które walczyliśmy. I proszę pamiętać: walczyliśmy tutaj, w Polsce, od czasu, kiedy w Stanach Zjednoczonych nie było jeszcze ani jednego białego człowieka, ani jednego białego człowieka!

B.B.: To swoiste motto dla oredzia Cartera!

L.R.M.: Bo na kilkadziesiąt lat przed okryciem Ameryki byliśmy już obywatelami tej rodzinnej równości społecznej, jaką była i Rzeczypospolita. Co prawda, to właśnie Frycz Modrzewski wolał wtedy o równość, bo u nas były straszliwe nierówności społeczne pomiędzy szlachtą a ludem. Ale w ramach narodu szlacheckiego to my, obywatele tego kraju, więcej niż na pół wieku, zanim Europejczyk pojawił się na kontynencie amerykańskim - mieliśmy już nietykalność osobistą, gwarantowaną prawem. Dlatego obrona praw człowieka - jest to jeden z naszych obowiązków odwiecznych. My się nie dołączamy! Nie jesteśmy tymi, którzy przyszedli pod opiekę innych, powiedzieli, że oni też chcą mieć prawa człowieka. Nie jesteśmy dysydentami rosyjskimi, którzy mówią, że po iluś tam latach czy wiekach na jednostkę należy spojrzeć... humanitarnie. My jesteśmy wśród pierwszych w Europie. A wcześniej byli starożytni Grecy.

B.B.: Ten czas, kiedy nastąpiło zmanifestowanie istnienia w Polsce Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, to ten sam czas, kiedy świat obiegło oredzie Cartera, przesycane pierwiastkami humanizmu wspólnymi dla krajów Europy, w tym także Polski. Sądząc jednak, że konieczność pojawienia się ROPCIO wynikała z innego jeszcze krajowego kontekstu: KOR-u?

L.R.M.: Wtedy w Polsce pojawiły się dwa kierunki myślowe ludzi, którzy walczyli o prawa człowieka: Komitet Obrony Robotników i my.

Komitet Obrony Robotników - to była fantastyczna sprawa! Data powstania KOR-u jest jedną z najważniejszych cezur w całej historii PRL-u. Na pewno powstanie KOR-u było ważniejsze od wydarzenia stanowiącego formalnie przyczynę sprawczą, tzn. od wydarzeń czerwcowych 1976 r. Ale oni, w KOR-ze mają inne spojrzenie, i my, w ROPCIO, mamy inne spojrzenie, chociaż wcześniej próbowaliśmy się z nimi porozumieć, żeby wspólnie działać. Z różnych względów od tego nie doszło. Niedobrze. Nie doszło właśnie dlatego, że dla KOR-u te prawa związane są, w aspekcie historycznym, z postępowaniem Europy Zachodniej, a wywodzą je oni z Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Jest jeszcze inny aspekt, który nas z nimi dzielił i dzieli. Oni prawa człowieka wyprowadzają z rozwoju społecznego, a więc widzą je relatywnie. Według nich w pewnym momencie sam rozwój społeczny wytworzył sytuację, która te prawa niejako dała. A my wywodzimy je z praw przyrodzonych, chociaż one często były niestosowane, zabierano je, przysługują człowiekowi dlatego, że osoba ludzka jest w życiu doczesnym miarą. Miarą świata może być Bóg, ale w życiu doczesnym miarą świata jest człowiek i on, od momentu poczęcia, te prawa ma. Niektórym ludziom te prawa są zabierane. Nigdy wszystkim, bo nawet w ustroju totalitarnym są tacy, którzy sami mają prawa człowieka, ale innym nie pozwalają z nich korzystać. Tu rozmięły się nasze spojrzenia: KOR-u i RCPICIO. Wynikało to zarówno ze sposobu traktowania naszej przeszłości, jak i ze spojrzenia na współczesnego człowieka. Rozwój praw człowieka w Polsce i cała podbudowa teoretyczna do tych z nich, które istnieją niezależnie od wszystkich teorii, jest związana z kulturą zachodnią. Jej korzenie tkwią jeszcze w Grecji, a potem rozbudowane zostały w Rzymie. Prawa człowieka rozwijają się przez chrześcijaństwo i przez rozwój instytucji prawnych.

B.B.: Czy można by ująć sens powstania KPN-u w ten sposób, że przejście od RCPICIO do konfederacji byłoby konsekwencją pojmowania Niepodległości jako wypadkowej tych wszystkich wolności indywidualnych, które zawarte są w prawach człowieka?

L.R.M.: Było koniecznością organizacyjną. Będziemy mieć w przyszłości jeszcze inne konieczności organizacyjne. Konfederacja nurtu niepodległościowego na pewno nie kończy. Ostatnią naszą koniecznością organizacyjną będzie zorganizowanie państwa III Rzeczypospolitej. To III bardzo podkreśliśmy, ponieważ jesteśmy kontynuatorami II Rzeczypospolitej, obalonej po II wojnie światowej, i I-szej Rzeczypospolitej, obalonej po rozbiorach.

Ale to są konieczności nie tylko organizacyjne. Poprzez ujawnienie jakiegokolwiek organizacyjnej struktury odeślaniamy się, ukazując wnętrze, pokazując myśli i serca. Dlatego musimy się odeślaniać stopniowo. To, co mówię panu dzisiaj, mogłem powiedzieć również dobrze w roku 1956, ale tego rodzaju odeślanie się wówczas ścigano groźbą likwidacji osób i myśli. Poza tym możemy odeślaniać się tylko tak, żeby było to strasne społecznie, żeby trafiało do świadomości społecznej. Gdyby np. w Roku Pańskim 1965 wystąpić z hasłem obalenia władzy PZPR i budowy III Rzeczypospolitej, to groziłaby mi rekomendacja do... domu wariatów. I nie dlatego, że tak uważała "bezpiewka", tylko dlatego, że wtedy ludzie by tak uważali. Są pewne rzeczy, które, zbyt wcześnie wyjawione, nie trafiają do społeczeństwa.

Rozmaite czynniki oddziaływają na świadomość społeczną. Jeśli przed chwilą mówiliśmy o niebezpieczeństwie wessania Polski, tzn. utraty świadomości polskiej, jeżeli odczuwaliśmy taką groźbę, to znaczy, że było bardzo źle z tą świadomością. A jeżeli było z nią źle i ten stan rzeczy zaczął się poprawiać i poprawia się gwałtownie, tzn., że ta świadomość rozwija się, sta je się pełniejsza. W miarę jej rozwoju możemy więc wychodzić z nowymi hasłami. I dlatego - tu już odpowiedź na pana pytanie - musieliśmy wyjść najpierw z Prawami Człowieka, a dopiero później z Niepodległością. A przed Prawami Człowieka musieliśmy wyjść z moralną wartością ofiary, a więc z protestem m. in. wobec treści "polskiej szkoly filmowej".

Mówiliśmy więc w 1960 r.: Oni zginęli, uszanujcie chociaż śmierć! A potem: Oni zginęli, ale coś z nich zostało. To skuteczność ich ofiary. A później: nie wszyscy zginęli. Inni walczą. Istnieje ciągłość walki. Są to kolejne elementy, które trafiają do wyobraźni społeczeństwa. Wreszcie i ten z roku 1977-go: bądźcie ludźmi świadomymi swoich polskich korzeni, bądźcie ludźmi, walczcie o swoją własną, osobistą godność. Prawo człowieka to przede wszystkim godność człowieka. A później, w latach 80-tych, w tym celu się skupicie, w tym celu stworzcie Niepodległe Państwo. Idąc od struktury do struktury, jednocześnie odeślaniamy coraz więcej wartości. W ten sposób jesteśmy myślowo na granicy przyszłości.

B.B.: Jeżeli z przyrodzonego prawa jednostki wywo-

dzi się myśli o Niepodległości narodu i ta Niepodległość "zobrazuje" się w kształcie państwa, to państwo takie w swej genezie związane jest z prawami człowieka. W takim razie powstaje pytanie: czy na płaszczyźnie działalności państwowej możliwe jest dochowanie wierności tym wszystkim postulatom moralnym, jakimi ma się kierować jednostka? Czy to państwo, o którym masy, które nie jest już jednak utopią, lecz nadchodzącą przyszłością, powinno się rządzić tymi samymi nakazami moralnymi, jakie przypisane są jednostce? Izaak Berlin - wybitny teoretyk liberalizmu - twierdzi np., że nie, że cynizm Machiavellego jest przenikliwą mądrością, bo niegodziwe środki są dziś uprawnione, gdyż służą dla godziwych celów.

L.R.M.: Sądę, że Machiavelli, którego przecież znam, sam sobie zbyt często zaprzecza - w kategoriach działania i moralności. Ale zwrócić uwagę na sprzeczności, na kontrowersje, których był świadom autor "Księgi", a nie bieramy tylko jednego aspektu jego rozumowania, wyciągając z tego wniosek błyskotliwy, lecz pochybny. Po drugie: nauczyła mnie historia, że moralność jest ważniejsza od polityki. Tylko sprymitywowana logika, która przyjmuje pewne aksjomaty bez dyskusji, pozwala dojść do stwierdzenia, że moralność przeskądza w polityce. Doświadczenia tylu tysięcy lat historii uczy, że jest to nieprawda. Co więcej: cel nie uswięca środków! A zła środki niszczą święty cel. Takie rzeczy dzieją się na naszych oczach. Naprawdę nie wierzę, że Pol-Pot po to zrobił rewolucję w Kambodży, żeby mordować ludzi. Zrobił to po to, żeby stworzyć tam szczęśliwe społeczeństwo. Tylko, że on powiedział: cel uswięca środki i wymordował miliony ludzi. Lenin, Stalin też nie byli ludźmi, którzy marzyli o mordach. Oni mieli swój cel. I nie był on podły. Oni jednak udowodnili, jak środki niszczą cele. Cała historia tego uczy: prymat moralności nad polityką!

Polityka wymaga rozmaitych taktyk: raz coś powiem, raz czegoś nie powiem. Oczywiście, że każdym razem, podejmując działania polityczne musimy sobie zdawać sprawę z ryzyka moralnego, które niosą. I w granicach tego ryzyka moralnego musimy działać.

Ale wróćmy do państwa. Może wtedy teza o prymacie moralności zabrzmi bardziej realnie. Zapytajmy: co to jest państwo? Na czym polega istota państwa? Kłwią, i to jest bardzo popularne w Polsce do dzisiaj, że państwo to forma władzy jakiejś grupy społecznej nad resztą: mniejszością nad większością, nawet większością nad mniejszością. Forma zatem władztwa jednego nad drugim. Mówi się, że funkcją państwa jest przymus! Zgoda. O ile opiewamy coś w oderwaniu od historii. Jeżeli będziemy np. opisywać despotycję wschodnią, ale jeżeli nie będziemy odrywać despotycję wschodnią od ich rzeczywistości historycznej, od potrzeby, np. od potrzeby przeżycia /"jak nie nawodni, to wszyscy zginiemy" - trzeba się zmuszać ludzi do pracy niewolniczej, bo wtedy przeżyjemy/, dojdziemy do wniosku, że przymus jest tylko warunkiem, jednym ze zmiennych historycznie warunków trwania. Ale jeśli zapomnimy o takim historycznym aspekcie despotycji wschodniej, kiedy ją analizujemy, zobaczymy tylko jej instytucje prawne, oderwane od kontekstu historycznego, i poddamy je logicznemu rozbirowi, wtedy powiemy: istota państwa w ogóle jest przemoc. Takie jest jednocznie ze współczesnych wzmówień.

Czy istota I Rzeczypospolitej był przymus? Nie. Istotą jej była "złota wolność". Cechą najbardziej charakterystyczną I Rzeczypospolitej, gdy się już w pełni ustabilizowała, był brak przymusu.

Czym więc jest państwo? Państwo jest to organizacja obywateli, którzy sami je tworzą. Jest to forma organizacji społeczeństwa.

Jeżeli ludzie są zorganizowani w państwo, to znaczy, że państwo jest usługowe w stosunku do ludzi. Każde państwo, także despotycja wschodnia, jest usługowe, w stosunku do ludzi, ponieważ ta despotycja wschodnia pozwalała przeżyć populacji przy użyciu okrutnych metod, strasznych metod - ale pozwalała. To samo jest z nami.

Jakie więc państwo jest nam potrzebne? Musimy tak się zorganizować, żeby to było państwo, które nam zagwarantuje przede wszystkim możliwość przeżycia, jako tej osobnej grupie ludzkości, jednej z Person, które są na świecie. Potrzebne jest nam państwo, które zapewni trwałość istnienia, które spełni nasze potrzeby, nasze aspiracje. Potrzebne jest nam państwo, które będzie naszą, wspólną własnością i my nim będziemy rządzić. Ale równocześnie, we wspólnym interesie, będziemy musieli poddać się pewnym ograniczeniom. Dlatego sądę, że III Rzeczypospolita musi być państwem opartym o dwa fundamenty: 1. fundament w pełni rozwiniętych - maksymalnych - praw obywatelskich, czyli silnych struktur społecznych, 2. fundament silnej władzy, lecz działającej ze społecznego mandatu i w granicach zaufania. Zawsze będziemy na skraju Europy. Czy my rzeczywiście jesteśmy na skraju? A te narody, z którymi połączyła nas historia? Czy one nas nie oskaniają? Jeśli nawet nasz związek z nimi zostanie odzyskany, a ja sądę, że takie nadzieje mieć można w granicach kolejnego odosobnienia w teatrze świata, i jeśli nawet ten związek z nimi zostanie odbudowany, to i tak będziemy na skraju Europy. Znaczący to tyle, że jesteśmy na skraju cywilizacyjnym, my i jeszcze parę pokoleń

polakich. Jesteśmy w tej części Europy, w której przeważają zachodnie wiatry atlantyckie. Ta część Europy sięga tak daleko, jak daleko nie dociera wiatr przeciwny, "suchowiej". Zimny wiatr ze wschodniej strony, granica między tymi wiatrami, które się szderają, to jest granica cywilizacyjna. Stąd wynikają nasze zagrożenia: "suchowiej" wieje i będzie wiać. Mogą się zmieniać formacje państwowe, ale na wschód od nas istnieje taki bezodpływowy obszar stepowy, skąd zawsze wychodzą inwazje w kierunku morza: na Wschód, na Zachód, na Południe. Na Zachód idzie ta inwazja razem z "suchowiejem" prosto w nas. Dlatego musimy być silni. Przecież napisali - nie Piłsudski, ale Wierzyński: "Jesteśmy skazani na wielkość". Wymawiali się z tego. W latach 50-tych, 60-tych cytowano to i wysławiano się. Jeżeli chcemy istnieć, to jesteśmy skazani na wielkość. Nie w znaczeniu terytorialnym. Przede wszystkim w znaczeniu wewnętrznym, duchowym. Inaczej nie udźwigniemy losu.

B.B.: Te rozmowy przeprowadzamy także dla ludzi młodszych, którzy są wyczerpani na praktykę życia. Może należałoby znaleźć tu słowa, które byłyby synonimami "wielkości", żeby urealnić niejako ich sens... Pan już powiedział wcześniej o sile struktur, o równowadze tych struktur.

L.R.M.: Przede wszystkim - to jest siła moralna, siła ducha. Bez siły ducha nie ma nic: jest pusta forma. Właśnie ten duch musi być obudowany silną, zwartą strukturą skuteczną, zdolną do działania. Funkcjonalną. Mieliśmy klęskę XVIII w. przez to, że na czas nie potrafiliśmy przekształcić swojej struktury. Przy czym w żadnym wypadku nie chodziło o to, żeby dać Polsce absolutyzm, bo to było przeciw Polsce, przeciwko naszemu duchowi. Chodziło natomiast o to, żeby nie tracąc wolności zbudować skuteczną strukturę. W tej chwili, jak mówimy o przyszłym, niedalekim już państwie, o III Rzeczypospolitej, to musimy ujrzyć konieczność stworzenia silnej struktury. W więzieniu w Barczewie w 1980 r. napisałem książeczkę o ustroju przyszłej III Rzeczypospolitej. Jaka ma być ta struktura III Rzeczypospolitej, jej ustroj? Musi on wywodzić się - brami to w końcu grudnia 1986 r. paradoksalnie? - z ustroju I Rzeczypospolitej. Rozwinięcie jej ustroju poprzez wszystko to, co przeszła później Polska i co przeszedł świat. Trzeba szukać rzeczy, które będą nam odpowiadać. Stąd zaproponowany przez mnie kształt ustrojowy w podziałach formalnych odpowiada ustrojowi prezydenckiemu, ale nie jest brany ze Stanów Zjednoczonych, lecz z politycznej myśli polskiej. Przypomina się tu jeden fakt. Otóż Michalowski, jeden z przedstawieli Konfederacji Barakkiej w Paryżu, pytał J.J. Rousseau, jaka konstytucja byłaby najlepsza dla Polaków? Rousseau przeprowadził studia i powiedział: "Ta, którą macie". Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że z tych niektórych rozwiązań ustrojowych, które u nas w Polsce były, poszło bardzo dużo do konstytucji amerykańskiej. Konstytucja ta powstała wcześniej niż wybuchła Rewolucja francuska, z której osłabnięcie konstytucyjnych Ameryka wcale nie skorzystała, na swoje szczęście!

B.B.: Panie Leszku, czytając pana ostatnią książeczkę, bo muszę się przysiąc, że przeczytałem w konspiracji przed Panem brulion ostatniej pana książeczki, napisanej w 1986 r., wyczułem w nim silną sugestię autora, że nasz terazniejszy i przyszły wysiłek polityczny będzie polegał nie tyle na trudzie kompilowania czy trudzie odnajdywania we własnej tradycji, tylko na realnej walce z "superkoncernem", jak pan nazywa PRL.

L.R.M.: Realna walka z superkoncernem.

B.B.: Rozmontowywanie, rozkręcanie superkoncernu - to Pan proponuje? Jak?

L.R.M.: Najpierw trzeba usunąć, potem trzeba zbudować.

B.B.: No, właśnie. Synchronizowanie niszczenia i budowania. Czy macie już w KPN ten "kamień filozoficzny"?

L.R.M.: Częściowo może ten czas usuwania i budowy będzie się pokrywał, ale chodzi o to, żeby cały czas utrzymać jednak dach nad głową! To są dwa zagadnienia: do progu Niepodległości i po progu Niepodległości. Zagadnienie - do progu Niepodległości u nas, w uproszczeniu! - wygląda bardzo prosto: my Polacy idziemy osiągnąć trzy kolejne horyzonty. Także my - Konfederaci. Ponieważ nie można nic na raz zdobyć, wszystko wymaga czasu, wszystko wymaga, eby najkrótszego, ale czasu. Wszystko wymaga działań. Pierwszą rzeczą, którą trzeba zbudować, gdy myśli się o III Rzeczypospolitej, jest zorganizowanie społeczeństwa. Punkt startu mamy już daleko za sobą. Naprzeciwko zorganizowanej władzy stało zatowizowane, zdezorganizowane społeczeństwo. To był punkt startu. Meta? To zorganizowane społeczeństwo naprzeciwko zdezorganizowanej PRL-owskiej władzy. To cała koncepcja polityczna. I tę koncepcję polityczną rozkładamy na trzy etapy. W pierwszym należy zorganizować ludzi wg formuły niepolitycznej, ponieważ formuła niepolityczna jest najpowszechniejsza i najłatwiejsza, gdyż opór przeciwnika jest wtedy mniejszy. Są to związki zawodowe, związki środowiskowe, twórcze, komitety osiedlowe. Wszystko, co niezależne od

władzy. O tym mówiliśmy jeszcze przed rokiem 80-tym. Pierwszy raz ten horyzont - zorganizowanie przeważającej części społeczeństwa wg formuły niepodległościowej - osiągnęliśmy w roku 1981. Była to "Solidarność". Związki zawodowe mogą zagarnąć najliczniejszą grupę ludzi, bo ogromna większość Polaków jest zatrudniona.

Z tego pierwszego horyzontu zostaliśmy wyeliminowani po 13 grudnia 1981, a teraz tam wracamy, żeby ten horyzont utrzymać. Jest to głównie zadanie "Solidarności". Ona tą walką kieruje, my w miarę naszych sił tylko pomagamy, ale nie czujemy się kierownikami tego działania. To działanie będzie przebiegać lepiej czy gorzej, ale przebiegnie. Efekt na pewno będzie osiągnięty. I wtedy rozpocznie się zdobywanie drugiego horyzontu, tj. organizowanie społeczeństwa wg formuły politycznej, wg kryterium politycznego. To znaczy wytworzenie już nie struktur ogarniających wszystkich Polaków, ale tylko tę aktywną część. Będzie to spectrum partii politycznych, daleko posunięta demokratyzacja systemu PRL-owskiego. Jeszcze komuniści rządzą, ale jest już legalna opozycja, która wchodzi do państwowych organów itd., itd.

Konfederacja będzie na pewno w tej walce współkierownikiem razem z innymi ugrupowaniami politycznymi. Wspólnie osiągniemy drugi horyzont. I wtedy rozpocznie się walka o trzeci horyzont: zorganizowanie społeczeństwa w państwo. Czyli usunięcie struktury PRL-owskiej i zastąpienie jej strukturą III Rzeczypospolitej. Wtedy Konfederacja stanie na czele, będzie kierować. Szykujemy się na apogeum naszego wysiłku właśnie wtedy. W Konfederacji będzie ten milion ludzi, którym działają nawet nie wpada do głowy, że w niej będą. Milion aktywnych, młodych ludzi.

Przez te etapy dojdziemy do progu Niepodległości, a gdy to nastąpi, sbudujemy III Rzeczypospolitą. Musimy ją sbudować tak, żeby miała szanse trwałości. Najpierw trzeba załatwić sprawę w Polsce, potem w tej części Europy będą się działy różne dziwne rzeczy, bo po prostu na nas będzie przypadał obowiązek, żeby tę część Europy zorganizować. To jest nasz obowiązek historyczny.

To, co robimy w tej chwili, czyli budowanie Niepodległości, odradzanie niepodległego państwa, to oczywiście walka o nasze istnienie. Ale gdy to osiągniemy stanie przed nami wielka misja dziejowa. W tej chwili nie jesteśmy w stanie wykonać tej misji, bo nie jesteśmy zorganizowani tak, jak być powinniśmy. Kiedy natomiast osiągniemy stan naszej niepodległości, ta misja dziejowa stanie przed nami.

B.B.: Misja dziejowa? Sądzę, że jest to termin, który w Polsce budzi obawy.

L.R.M.: Póki Polacy będą się bać nawet słów, nie będzie z nami. Ale my się już przestajemy bać. Bailamy się takich prestych słów, jak demokracja, wolność, prawa człowieka, niepodległość. Nawet słów ojczyzna i patriotyzm niektórzy jeszcze się boją. Najbardziej boją się dwóch słów: misja dziejowa.

Polacy parokroć mieli do wykonania misję dziejową. I parokroć ta misja została spełniona. Misją dziejową była integracja ludów zamieszkałych na tej ziemi, ponieważ integracja tych ludów dawała szansę Europie.

Historycy mogą się zastanawiać nad zyskami i stratami. Niektórzy twierdzą, że pewne misje realizowane były z nadmiernym obciążeniem Polaków, np. Powstanie Jasińskiego, z którym ja się nie godzę. Mieliśmy misję dziejową, kiedy już nie trzeba było integrować, lecz trzeba było to zintegrowane społeczeństwo po prostu zgłodzić. I wypełniliśmy ją dwukrotnie. Kiedy Turcy szli na Europę w XVII w. i znacznie później w XIX w., kiedy Rosjanie szli na Europę. Apogeum bowiem rosyjskiej potęgi to początek XIX w. To jest ten okres między Waterloo a wycofaniem się z czynnego życia Aleksandra I. W tym czasie Rosja była nie tylko w stanie dojść do Paryża, ale politycznie i geopolitycznie Rosja była w stanie zagarnąć Europę. Przez kilkadziesiąt lat Polacy to uniemożliwiali. Tak m. in. trzeba rozumić powstania narodowe, które nieskutecznie sprowadzamy tylko do polskiego podwórka i do "polskich spraw". Powstania to była misja, wykonana misja. Zatrzymaliśmy Azję przed Europą. Potem zatrzymaliśmy jeszcze ją w roku 1920. Ratowaliśmy przede wszystkim siebie, ale była to również nasza misja dziejowa. Co prawda, niewdzięczna. Ale wynika ona z naszego usytuowania w przestrzeni.

B.B.: Czy pan nie wyczuwa oporu - u czytelników i słuchaczy - przeciw tym słowom, które pan w tej chwili formuluje?

L.R.M.: Oczywiście, że wyczuwam.

B.B.: Na czym ten opór polega?

L.R.M.: Na braku wyobraźni, na strachu, na małocici; o człowieku, który klęczy na kolanach, nie można powiedzieć: jakiś ty wielki i wspaniały, bo on myśli, że się wtedy z niego kpi. O człowieku, że jest wielki i wspaniały, można powiedzieć wtedy, gdy wstanie. I jeśli nawet człowiekowi, który wyszedł z ciemności na słońce, powiemy, że to słońce jest wspaniałe, nie uwierzy, to ono go razi.

B.B.: Panie Leszku, czytam prasę podziemną, a także książki drugiego obiegu, a w nich wypowiedzi części ludzi z "Solidarności", którzy na słowo Konfederacja zaczynają odczytywać egzorcyzmy. Pan chyba też czyta tę prasę, skąd się to bierze?

L.R.M.: Są to ludzie, którzy wyrosli w piwnicy, ale to nie są źli ludzie, oni muszą tylko dojrzeć. Uważają, że można walczyć o kielbasę, o trzy pokoje z kuchnią. Ale dla kogo to jest program? Musimy walczyć o rzeczy, które nas zdumiewają ogromem. Jeżeli nasze cele, które sami stawiamy, nas nie zdumiewają, to jesteśmy wszyscy małymi ludźmi, każdy z nas jest małym człowiekiem, który stara się dorastać, ale czy gdyby dorosnąć? Jeżeli stawiamy cele poniżej tych, które nas zdumiewają ogromem, tzn. stawiamy cele poniżej swoich możliwości. Ci ludzie, którzy krytykują Konfederację, stawiają cele poniżej siebie. Dlatego przed Sądem Wojennym, Wojennym czy jakimś tam sądem, powiedziałem: Ja wiem, że będzie Wielka Rzeczypospolita. Ja jestem tego o wiele bardziej pewny, niż tego, że jestem w tym miejscu tutaj. Bo mnie może nie być, ale Wielka Rzeczypospolita będzie.

B.B.: Dziękuję Panu, że znalazł Pan czas na tę rozmowę.

Marcin Król DYLEMATY LIBERALIZMU

Problemy sacrum - czy to chrześcijańskiego Boga osobowego, czy w szerszym ujęciu problem transcendentności - powraca do rozpraw i esejów, staje się we wciągnięciu rosnącym stopniu przedmiotem zainteresowania duchowych przywódców intelektualnej Europy. Wątpliwą jednak do czynienia z zadziwiającym zróżnicowaniem postaw. Wła jednego nie jest to problem, lecz jedynie temat mniej lub bardziej szczegółowych rozważań. Wła nie jest dla nich problemem, bo wierzą, zatem ciękawosc ich kieruje się ku konkretnym tematom z zakresu teologii lub filozofii religii. Dla drugich natomiast wiara, właśnie sam, najpierwszy fakt istnienia Boga lub tylko istnienia rzeczywistości transcendentnej, rzeczywistości duchowej, jest problemem, który usiłują albo wprost zaatakować, albo świadomi jego istnienia zastawiają innym ludziom lub innym czasem do rozwiązania. Wreszcie dla pozostałych żadnego problemu nie ma, co najwyżej jest pewne zagadnienie socjologiczne, które trzeba i można przy pomocy socjologicznych sztuczek wyjaśnić, a tak naprawdę, to deskralizacja świata została przeprowadzona do końca, są ci, którzy wierzą w Boga, stanowią w ich oczach grupę raczej nieszkodliwych /póki tolerancyjnych/ hobbyistów podobnych wielbicielom latających talersy czy seansów spirytystycznych. W wolnym społeczeństwie wolno i takie mieć rozrywki.

A przeciw wszystkim lub niemal wszystkim zapytani odpowiadają, że kultura chrześcijańska, że tradycja chrześcijańska stanowi ważny, może zasadniczy, element kultury europejskiej, do której we własnym mniemaniu należą. Co to jednak jest kultura chrześcijańska bez wiary i bez Boga? Na takie pytanie nie uzyskamy nigdy odpowiedzi wprost. Wydawałoby się, że skoro problem Boga jest tak centralny w myśleniu, to różnice między filozoficznie wierzącymi, szukającymi i niewierzącymi są również najzupełniej zasadnicze. Tymczasem nie. Zasadają we wspólnych komitetach, które obradują nad przyszłymi losami świata, wspólnie występują w obronie tych samych wartości, tych samych pokrzywdzonych ludzi, tych samych zagrożonych miast, krajów, narodów. Prowadzą dyskusje i rozmowy jak gdyby nigdy nic. Zaisze zdumiewające i nie do pojęcia nawet dwieście lat temu. O czym to świadczy? O zwycięstwie mentalności liberalnej nad mentalnością sakralną.

Nieważne kto pierwszy doprowadził lub tylko ujawnił tę zasadniczą odmienną postaw. Odpowiednie ślady znajdujemy na przykład u Tocqueville'a, kiedy to rozważając rolę religii w społeczeństwach demokratycznych, autor "Demokracji w Ameryce" jakby nieswiadom rozmiarów problemu, uznaje religię za istotny element życia społecznego, głównie jako źródło, z którego czerpie się odpowiedzi na pytania, na jakie innych odpowiedzi oyc nie może. Religia zatem, posuwam się tu nieco poza sformułowania Tocqueville'a, jako sposób na metafizyczne niespokojne - i tyle. Kiedy wielcy dwudziestowieczni filozofowie kultury podejmują to pytanie, odpowiedzi, jakie słyszymy, są bardzo podobne. Religia ma być sposobem na rozmaite malaises naszej cywilizacji. Dla Mircea Eliadego religia rozumiana jako mit ma wzbogacić zubożone życie duchowe stanowiące naturalny element ludzkiego życia we wszystkich kulturach. Dla Ortega y Gasseta religia, ale religia rozumiana i celebrowana zgodnie z chrześcijańskimi tradycjami, ma pomóc w rozbięciu zwiast-

czych mas, ma sprawić, że wraz z jej doorocznym społeczeństwem wpływem odbudowane zostaną elity i naturalna arystokracja. Dla Daniela Bella wiele małych, "prywatnych" stowarzyszeń religijnych ma umożliwić odwrócenie zębnej tendencji współczesnej cywilizacji od hedonizmu. Dla Leszka Kożakowskiego religia ma służyć wskazaniu diabła, pozbawionemu dwuznaczności napiętnowaniu zła i zachęcaniu wobec tego współczesnej cywilizacji zachodniej do stanowczej walki z tak odródnionym i widocznym w całej krasie ziem moralnym, a ponadto ma służyć zaspokojeniu stwierdzonych i niezbywalnych ludzkich potrzeb. Dla nich wszystkich i dla wielu innych postawionych w podobnej sytuacji wyboru religia jest środkiem, w mocniejszym ujęciu religia jest kółkiem zębata niezbędnym dla funkcjonowania mechanizmu kultury, w najmocniejszym - sposobem sformułowania i przedstawienia niewątpliwie istniejącej rzeczywistości transcendentnej, wszelako sposobem sformułowania i przedstawienia historycznie lub zaleźnie od kultury określonym i ograniczonym. Jakaś rzeczywistość duchowa jakos na pewno istnieje, ale że dopatrujemy się w niej akurat Jezusa Chrystusa, Ducha Świętego i tym podobnych konkretów, to już wynik naszej kultury, naszej symboliki i naszej tradycji.

Tak oto wskutek desakralizacji współczesnej kultury powstała przepaść nie do pokonania między religią a potrzebą religii. Coraz częściej słyszymy o potrzebie, funkcji, przydatności, o, niezbędności, ale ci, którzy nawołują, i ci, do których wezwania te są adresowane, nie są zdolni - mimo najlepszych chęci - do zbudowania mostu ponad ową przepaść. Co im to uniemożliwia? Sądzą, że tym czynnikiem blokującym jest kultura bądź też mentalność liberalna.

Wielokrotnie diagnozę taką stawiano. Istnieje kilka w różnych odmianach powtarzanych stanowisk. Najbardziej krytyczne zajmuje "szkoła rosyjska" oraz jej zachodni zwolennicy. Sołżenicyn jest może skrajnym, ale dojrzym jej przedstawicielem. Liberalizm, w mniemaniu tej szkoły, to tylko odmiana radykalnego materializmu i tylko ten aspekt liberalizmu jest ważny. Prawo, ustroj państwowy, a także system gospodarczy wynikające z liberalnej filozofii są także godne pojęcia, ale na te tematy szkoła mniej chętnie się wypowiada, chociaż u myślicieli dziewiętnastowiecznych znajdziemy i te wątki. Obecnie jest o tyle trudniej, że w podzielonym świecie krytyka liberalizmu, a więc kapitalizmu, może uchodzić za aprobatę ustroju panującego w Związku Radzieckim, a na to "szkoła rosyjska" oczywiście nie jest gotowa przystać.

Podobny jest punkt wyjścia krytyków liberalizmu, którzy, jak Daniel Bell czy współcześni amerykańscy neokonserwatyści, dostrzegają źródło współczesnego kryzysu w nadmiernej indywidualistycznych, konsumpcyjnych, hedonistycznych, formalno-prawnych postawach obywateli wychowanych w duchu mentalności liberalnej. Krytyka objawów jest zapewne trafna, lecz propozycje pozytywne oferowane przez współczesnych konserwatystów cechuje rozpaczliwa bezradność. Bo w istocie powinni konsekwentnie zolizować się do stanowiska "szkoły rosyjskiej", potępić w czambu współczesną kulturę i ją się propagandy myślenia religijnego. Wydaje się natomiast, że sami konserwatyści zgadzają się milcząco na explicite przez nich atakowaną dwuzielną wizję świata. Ze sami przyjmują, iż światy chrześcijańskiego ziarum i liberalnego profanum są nie do pogodzenia. Usiłują zatem, jak właśnie Bell, znaleźć sposób na to, by religia jakos zmiesciła się i mogła rozwijać nie naruszając podstaw mentalności liberalnej bądź też, jak Alain Besançon, by liberalizm, a z nim stanowiący mniejsze zło - kapitalizm, jakos zostały pozytywnie wchłonięte i przetrwają przez chrześcijaństwo. Są to wszakże wyłącznie propozycje sojuszu taktycznego /niech będzie nawet, że strategicznego/, skąd co najwyżej uwzględniające zasadniczą odmienną systemów myślenia: chrześcijańskiego i liberalnego.

Inną, dzisiaj mniej modną, ale zawsze żywą postawę przyjmują ci, którzy sądzą, że potrzeby, jakie dawniej zaspokajała religia, w postliberalnej erze należy satysfakcjonować przy pomocy niesakralnych metod i opakowań. Jest to tradycja liberalizmu moralistycznego, która pojawia się w bardziej stoickich lub bardziej tragicznych wersjach. Wspominałem o niej wyróżniając heroiczno-tragiczny wątek i okres w myśli Leszka Kożakowskiego. Do jej współczesnych patronów należą Conrad i, oczywiście, Albert Camus. Jest to postawa nadzwyczaj elitarna w tym rozumieniu, w jakim stoicyzm był zawsze postawą elitarną. Nie jest to naturalnie zarzut, a jedynie obserwacja: ludzie przyjmujący taką postawę potrafili w poszczególnych przypadkach, jako jednostki, stworzyć nadzwyczaj cenne dzieła, jednakże ambicja przekształcenia w tym kierunku moralności publicznej była i jest zawsze chybiona.

Zastanówmy się teraz, jak doszło do powstania takiej sytuacji, jak to się stało, że kultura europejska podzieliła się na dwa światy: sakralny i liberalny, oba dla niej konstytutywne, a zarazem tak sobie przeciwstawne i wzajemnie wyniszczające, że trwanie tego podziału jest dla kultury europejskiej najpoważ-

niejszym zagrożeniem. Być może wyjaśnienie genezy i historii tego podziału ułatwi nam wskazanie tych punktów, w których można go przekroczyć lub anulować.

W zakresie wartości odpowiedź jest od dawna już znana. Wolność, która w myśli chrześcijańskiej była wartością służebną: wolna wola została dana człowiekowi po to, żeby mógł wybierać, ale także po to, by mógł z własnej woli chwalić Boga, zmierzać do Niego, w myśli liberalnej stała się wartością najwyższą. Myśl liberalna odmawiała odpowiedzi na pytanie: po co człowiek ma być wolny? Ma być wolny po to, żeby być wolny i mógł swobodnie wybierać swój los. Stało się tym jedno z dwu przeświadczeń: albo że człowiek jest istotą rozumną wyposażoną w dobrą wolę i wolność plus oświecenie umożliwią mu stworzenie możliwie najlepszego życia dla samego siebie i dla całej społeczności, albo że człowiek maksymalnie wolny będzie się poddawał zasadzie korzyści i przyjemności, zasadami głoszonymi przez utilitaryzm i w ten sposób zostanie utworzona możliwie najlepsza organizacja życia zbiorowego zapewniająca jednostce możliwie najlepsze warunki. W pierwszym przypadku myśl liberalna /przede wszystkim we Francji, potem w Niemczech/ chciała planować całość życia społecznego i gospodarczego i często cnylika się ku rozmaitym odmianom socjalizmu. W drugim natomiast /w krajach anglosaskich/ ograniczona była od poziomu państwowego, a państwo według słownej formuły miało być jedynie nocnym stróżem. Komplikacje i odmiany myśli liberalnej nas tu nie interesują.

Natomiast wspólną cechą wszystkich jej nurtów jest - zgodnie z podstawowym przeświadczeniem o niesłużebnym charakterze takiej wartości jak wolność - rezygnacja z pojęcia problemu duchowego życia człowieka. W teorii ta rezygnacja oznaczała pozostawienie rozstrzygnięcia duchowych swobodnej decyzji każdej jednostki, a więc kto chciał mógł wierzyć w Boga lub wierzyć w postęp, lub wierzyć w naukę. W konstytucjach niektórych państw, konstytucjach o niewątpliwie liberalnej inspiracji wspominało nawet o bogu, lecz było to Bóg Geistów, Bóg wszystkich chrześcijańskich wyznań, Bóg codziennej moralności poszczególnych jednostek, Bóg taki ani nie był obecny w historii, ani nie prowadził jednostek i narodów do arcyłestwa niebieskiego, nie wiodł odwiecznej batalii z Szatanem, nie dawał znaków swej obecności, był w najlepszym przypadku organizatorem indywidualnych sumień, co dla świata wartości społecznych, dla historii, dla polityki nie miało żadnych istotniejszych konsekwencji.

Z tego punktu widzenia bardzo ciekawa jest historia umysłowa stanów Zjednoczonych w XIX w. Znakomite, czysto techniczne refleksji nad prawem państwowym i organizacją życia społecznego towarzyszy niesłychanie intensywne rozważanie problematyki moralno-religijnej przez licznych kaznodziej i moralistów, którzy jednak koncentrują się na problematyce jednostki i jej sumienia. Nie ma tam śladu rozwiniętej teologii, refleksji nad światem, nad dziejami. Jest grzech i problem indywidualnego zbawienia.

Kiedy tylko liberalizm stawał się bliski socjalizmowi już w teorii, uważano za szkodliwe ograniczyć wolność w zakresie życia duchowego. Dopóki w czystym liberalizmie wartością miała być sama swoboda, sama swoboda miała sprzyjać pożądanej organizacji życia społecznego, dopóty można było pozostawić także swobodę życia duchowego, o ile nie ograniczało ono cudzej wolności. Kiedy jednak uznano - jak w myśli socjalistycznej - że niezbędny jest plan życia społecznego, taka swoboda w zakresie życia duchowego stawała się niebezpieczna, mogła bowiem wprowadzić do planu nie zamierzone czynniki. Od czasów więc parascjalizmu robespierrystów i w ogóle jakobinów projektowano mniej lub bardziej podobne do tradycyjnych religii formy organizacji życia duchowego jednostek. Stąd potem częste po dziś dzień naiwne spekulacje na temat podobenstwa wizji socjalistycznych lub komunistycznych i odpowiednio do nich tworzonych instytucji do wizji chrześcijańskiej. Jasne, że było tu podobieństwo - właśnie w usiłowaniu zorganizowania życia duchowego jednostek i równie jasne, że na tym wszelkie podobieństwo istotne się kończyło.

Jednakże myśl socjalistyczna i praktyka socjalizmu stanowiąka tylko część potomstwa mentalności liberalnej, tę część, która wkrótce wyrzekła się rodziców. Dla nas ważniejszy znacznie jest rozwój tego głównego nurtu myśli liberalnej, który niezmiennie miał wolność za najwyższą i samodzielną wartość. W teorii pozostawia on i współcześnie pełną swobodę samodzielnego rozstrzygnięcia przez jednostki o ich życiu duchowym. W praktyce jest jednak inaczej. Nie myślę tu bynajmniej o banalnym zjawisku społeczno-obyczajowego przymusu, lecz o tendencji myśli liberalnej do tworzenia własnej metafizyki lub jej surogatów. Zjawisko to zostało znakomicie opisane choćby przez Daniela Bella w jego "Cultural Contradictions of Capitalism", opisa-

ne krytycznie z punktu widzenia zagrożeń, jakie wskutek tego powstają dla samego świata liberalnego. Wspomnianą więc tylko kilka typowych takich surogatów; optymistyczno-postępowa wizja istniejąca z pewnymi modyfikacjami do dziś, według której wolna konkurencja plus oświata i rozwój nauki muszą prowadzić do polepszenia warunków ludzkiego życia, zaś te warunki, te przyjemności i komfort, sam ich rozwój jest wystarczającym sformułowaniem celów ludzkiego życia i naczelnym celem historii. W innej wersji mówi się o postępach samorganizacji i samorządności, tu - na przykład u Hanny Arendt - człowiek polityczny, mający poczucie /z antycznej tradycji wywiedzione/ wielkości samorządnego decydowania o losie swoim i swojej zbiorowości, jest człowiekiem, który automatycznie ma cel w życiu, zaś rolę metafizyki pełni polityka, jak w poprzednim przypadku rolę metafizyki pełnił postępowy rozwój wiedzy i gospodarki. W jeszcze innej wersji, dobrze już nam znanej wersji liberalno-heroiczno-tragiczno-moralistycznej, wolność i samotność są właśnie godnym losem człowieka, który dzięki temu może być w pełni świadomy samego siebie. Rola metafizyki pełni tu przekraczanie - cokolwiek miałyby to znaczyć - samego siebie. W ostatniej wreszcie, najrzadziej explicite występującej wersji: sama technika organizacji życia zbiorowego, samo prawo i organizacja ulegają przeobrażeniu. Doznania metafizyczne miałyby tu płynąć z dreszczyku towarzyszącego trafnemu przewidzeniu konsekwencji zmian prawnych dla życia społecznego i trafnemu uchwyceniu problemów życia w prawne formuły.

Te w różnym stopniu świadome i uświadamiane, w różnym stopniu teoretycznie podbudowane i wypracowane oferty myśli liberalnej spotykały się z pozytywnym masowym przyjęciem w życiu społecznym, z samego tego życia zresztą wyszły, są przede wszystkim wydobyciem na jaw odruchów i wyobrażeń ludzi ukstałowanych przez życie w demokracji. Liberalizm wprowadził nie jest tożsamy z demokracją, ale stanowił początkowo zespół technik służących organizacji wewnętrznej gwałtownie demokratyzujących się społeczeństw. Bo w istocie od tego wszystko cały wielki podział w kulturze europejskiej i wewnętrzne jej pęknięcia się rozpoczęły.

Ortega y Gasset nazwał to buntem mas, ale idea doprawdy nadmiernie jest arystokratyczna. Nie bunt mas, lecz wejście mas, wejście nagłe, gwałtowne i jednocześnie mas do życia społecznego miało tak doniosłe konsekwencje. Ortega y Gasset znakomicie to zresztą opisuje: "Trzy czynniki sprawiły, iż stworzenie nowego świata stało się możliwe: liberalna demokracja, badania naukowe i industrializacja. Jwa ostatnie można streścić w jednym słowie - technika". Należy tu przede wszystkim stanowiącą część tego, co nazywamy techniką, czynniki stanowią część tego, co nazywamy techniką. Także liberalna demokracja to nic innego jak zespół technik, sposobów organizowania życia społecznego w nowej sytuacji, kiedy masy zaczęły się liczyć.

U wszystkich myślicieli, którzy - jak właśnie Ortega y Gasset - rozumieli, że liberalizm jest także przemijającym typem ustroju społecznego, ale jednocześnie dostrzegali w liberalnej demokracji osiągnięcia nigdy przedtem przez ludzi nie uzyskane, natrafiamy na zdumienie, że coś takiego jak liberalna demokracja w ogóle okazało się możliwe. Że większość dobrowornie gwarantuje prawa mniejszości, a "władza publiczna, mimo swej potęgi, sama sobie narzuca ograniczenia, tak aby nawet kosztem tej władzy zostawić w rządzonym przez siebie państwie miejsce do życia dla tych wszystkich, którzy nie myślą ani nie czują tak jak ona, czyli tak jak silniejsi, jak większość". Istotnie liberalna demokracja jest zjawiskiem zdumiewającym na tle historii, a fakt, że państwa o takim ustroju istnieją przez dość długi już czas i bynajmniej nie chylą się ku upadkowi, świadczy, że osiągnięto tu zadowalające rozwiązanie źle przedtem rozwiązywanych problemów społecznych, politycznych i gospodarczych. Znalaziono i potem doskonalono, wciąż się doskonali, zadowalające techniki służące do rozwiązania zagadnienia, jakże samej sobie postawiła w drugiej poł. XVIII w. kultura europejska.

Otoż kultura rozwijając pojęcie osoby - przede wszystkim pod wpływem myśli chrześcijańskiej - umocniła i upowszechniła przeświadczenie, że wszyscy ludzie są osobami, a więc, że powinni być równi wobec prawa i powinni dysponować równymi możliwościami, umocniła tak dalece, że w pewnym momencie trzeba było to tego wyciągnąć praktyczne konsekwencje. Rozumieli to myśliciele żyjący jeszcze przed Rewolucją francuską /Monteskiusz/, ale po Rewolucji francuskiej tylko ony i prawdziwi reakcjonści mogli tego nie pojmować. Po drugie, kultura ta wskutek rozwoju jej części - cywilizacji - doprowadziła do zwiększenia ilości mieszkańców Europy i Ameryki Północnej oraz, po trzecie, wskutek rozwoju wiedzy, przemysłu i handlu spowodowała coraz większy wzrost produkcji, a więc i dobro

bytu. Nagle okazało się, że prawo i chęć uczestniczenia w życiu społecznym i politycznym ma nie jedna dwu dziesiąta, nie jedna piąta mieszkańców danego kraju, lecz teoretycznie wszyscy. Kto opowiadał się rewolucji, kto rozumiał, że stwarza ona co najmniej tyle samo nowych problemów, ile rozwiązuje, ten szukał technik, które umożliwią jakieś zorganizowanie i złagodzenie ogromu realnych i potencjalnych konfliktów. Temu właśnie nie zadaniu poświęcili się wielcy twórcy myśli liberalnej. A że wszyscy oni należeli do dawnej jednej piątej, czy jednej dwudziestej, więc oliski im był urok odcinającego świata, bliskie im były wartości, które - słusznie - uważali za niezbędne w każdej formie ustrojowej. Bronili swojego prawa, prawa mniejszości, do innych upodobań, innych obyczajów, innej wizji kultury, innych miar sensowności ludzkiego życia. Benjamin Constant i Alexis de Tocqueville, John Stuart Mill i Lord Acton, ojcowie Rewolucji Amerykańskiej równie intensywnie myśleli o tym, jak rozwiązać techniczne problemy życia społecznego i o tym, jak zagwarantować bezpieczne enklawy dla ludzi czujących i myślących podobnie do nich, dla ludzi, którzy w przyszłości mieli kulturę europejską dalej rozwijać. Dopiero nieco później pojawili się dogmatycy liberalizmu, którym już nie szło o samych siebie, lecz tylko i wyłącznie o wszystkich, o każdego, o zasadę wolnej konkurencji, o indywidualizm, dla których liberalizm, liberalna demokracja stały się najlepszymi, bo postępowymi ideałami.

Jednakże już u ojców technik liberalnych mamy do czynienia z zaniedbaniem, które potem będzie miało tak poważne i dramatyczne konsekwencje. Zaniedbanie to zresztą pojawiło się na skutek zrozumiałej fascynacji. Wyobraźmy sobie to pokojowe, twórcze, cywilizacyjnie płodne, politycznie ukadzone wejście mas do życia publicznego. Cóż za wspaniałe widoki! Jakie niezwykłe osiągnięcia europejskiej kultury. I - podobnie jak w wyzwalających się krajach Przecięcia Świata, a także w Polsce po 1948 r. - musiało się wydawać, że sama dynamika tego uporządkowanego wyzwolenia poprowadzi jednostki i społeczeństwa ku nowym gwiazdom, jak to pisał Emmanuel Mounier, już doprawdy spóźniona ofiara podobnego zdziwienia, tyle że zdziwienia opartego nie na liberalizmie, lecz na personalizmie. Niektórzy - jak wielki Tocqueville - byli na tyle przenikliwi, że od początku dostrzegali zagrożenia, że wiedzieli, iż najbardziej nawet demokratyczne i liberalnie myślące społeczeństwo może ulec tyranii większości i może także ulec tyranii władzy rozgrywiającej zżecznie interesy i zawiść między poszczególnymi grupami społecznymi. Wszakże nawet Tocqueville nie dostrzegł innych sposobów zaradczych jak upowszechnienie samorządnych instytucji, szacunek dla prawa, w pełni zagwarantowana wolność słowa. Słowem na zagrożenia, na nieuchronne słabości demokracji liberalnej liberalnych tylko szukał remediów. W ten sposób powstało najpoważniejsze ze złudzeń, złudzenie samowystarczalności mechanizmu liberalnego, złudzenie, które jego apologety zwiększają przedstawiając liberalne demokracje jako samoregulujące się mechanizmy.

Bo przecież rzeczywiste mechanizmy systemu demokracji liberalnej tak działają, że potrafi włączyć, a nawet dla celów dalszego rozwoju wykorzystac, wszelkie konflikty i nowe trudności oraz problemy. Zgoda, ale są to konflikty i problemy gospodarcze, społeczno-polityczne i prawne, ale nie takie, do których rozwiązywania mechanizm ten nie jest przygotowany, nie takie, których istnienie twórcy tego mechanizmu, wielcy twórcy myśli liberalnej pomijali lub lekceważyli.

A więc nie problemy wynikające z duchowych potrzeb i wątpliwości człowieka, jednostki, a także z rzeświadomych często duchowych i metafizycznych oczekiwań oraz wyobrażeń ziorowości. Wielcy myśliciele liberalni byli często krytyczni wobec własnych poglądów, dostrzegali ich słabe miejsca, ale jednak u podstawy tych poglądów stała i stoi do dzisiaj optymistyczno-racjonalistyczna wizja świata, w której albo w ogóle nie ma miejsca na mglisty i czasem mroczny świat duchowości, albo sądzi się, że ewentualne problemy wynikające z tego rodzaju potrzeb zostaną pooodnie jak inne rozwiązane przez ów samoregulujący się mechanizm.

Powinno się często, że nie do pojęcia są takie fenomeny jak nazizm czy inne tak zwane szaleństwa XX w. Właśnie wtedy, kiedy ludzkość /kultura europejska/ osiągnęła ów rzeczywiste niezwykle stopień rozwoju i subtelności, jaki osiągnęła dzięki liberalizmowi. Bez specjalnej uwagi, że wypowiem się za ostro, stwierdzam, że nazizm był możliwy tylko w epoce liberalizmu, tylko wtedy, kiedy ludzie zostali osamotnieni przez kulturę, kiedy ich zapotrzebowanie na problematykę duchową przestało przez kulturę być zaspokajane. Rozumiejąc podobnie często oskarżano liberalizm o to, że jest "zgniły", miękki, niemęski i natychmiast brano się do konstruowania radykalnych, antyliberalnych systemów. W skali masowej taka reakcja zaistniała po II wojnie światowej i jednym z jej przykładów była właśnie myśl Mouniera, ale ludzie myślący już znacz-

nie wcześniej formułowali antyliberalne diatryby. Stąd przecież obraża się krancowość poglądów i Nietzschego, i Bostojewskiego, krancowość dzięki ich geniuszowi dla kultury, cenna, stąd także posępno-idiotyczny radykalizm owych setek i tysięcy poetes maudits, tych tryglików własnej sypialni, zawistników i nienawistników popisujących się antymieszczerskim, antyliberalnym, antyeuropejskim frazesem.

Wnioski te i oskarżenia były nieuzasadnione, a ich rozwiniecie najczęściej grupie po prostu lub oparte na banalnej konfrontacji typu: oto człowiek, który skonstruował komputery i parlamenty nie umie sobie po radzić z nienawistnością, ziem i obozami koncentracyjnymi, ale wnioski te i oskarżenia nie były bezpodstawne. U podstawy ich stała owoiem i stoi szumsza pretensja do liberalizmu, szumsza, jeżeli uważać liberalizm nie tylko za technikę, lecz także za całosciową wizję świata. A liberalizm sugerował, miał i ma taki zamysł, by całosciową wizję świata ludzkości zaoferować. Szumsze natomiast może być oskarżenie o wielkie oszustwo, skoro ta wizja świata okazała się tak wyjątkowa, na tle historii nieludzka, tak wielkie rozczuwająca nadzieje i tak całkowicie niezdolna do zastąpienia pozdejmowanych, przewracanych znaków orientacyjnych nowymi, takimi, które nie prowadziły do donikąd.

Pamiętać wszakże należy, że oskarżenia te w naj-aniejszym stopniu nie dotyczą się liberalizmu jako techniki. Pojawiają się zatem dwa następne pytania: czy liberalizm, demokracja - liberalna jako technika musi występować w towarzystwie liberalnej wizji świata, liberalnej niby-odpowiedzi na ludzkie potrzeby duchowe? A jeśli - jak sądzić - nie, to skąd obraża się z jednej strony te światopoglądowe zapędy twórców myśli liberalnej a - z drugiej strony - dlaczego w krytycznej myśli dwudziestowiecznej nie chciano lub nie umiano odziedziczyć, także w myśli chrześcijańskiej, tego, co w liberalizmie cenne, czyli techniki, od balastu światopoglądu, natomiast z zawzięciem i zacietrzewieniem budzącym zdumienie, kiedy opanowywało wybitne umysły, odrzucało wszystko, co liberalizmem przeniknięte?

Zapewne sformułowanie podstaw myśli liberalnej nie mogło się obyć bez pretensji do całosciowego wyjaśnienia świata. Aieody obserwujemy historyczny proces rozwoju mentalności liberalnej, widzimy, że zeświecczenie myśli musiało się dokonać, aby ludzka energia umysłowa mogła się skupić na technicznych problemach budowania nowego systemu gospodarczo-społecznego. Była to jednak konieczność o charakterze "praksoologicznym" raczej niż logicznym, a ponadto myśl liberalna chętnie wykraczała poza ową konieczność ku budowaniu mniej lub bardziej utopijnych wizji wolności i prawnie zagwarantowanej szczególności powszechnej. Nastąpiło pomieszanie dwóch całkowicie odmiennych dolegliwości dręczących człowieka: tej wynikającej z natury bądź z zasady egzystencji, dolegliwości o charakterze metafizycznym, niepokoju, od którego ostatecznie nic człowieka nie uwalnia, z dolegliwością wynikającą ze społecznych ograniczeń. Jedną z nich, że problemy metafizyczne ulegną rozwiązaniu, jeżeli uwolni się człowieka od - najpierw - ograniczeń prawnych, potem - materialnych, wreszcie - psychicznych. Tak od klasycznego liberalizmu przez socjalizm i psychoanalizę próbowano aprowadzić pytania metafizyczne do otwierania kolejnych drzwi więziennej celi, w której rzekomo przebywała jednostka, osoba, człowiek. I tu następował zaskakujący zwrot w myśleniu, w kulturze. Można by sądzić, że więcej wolności będzie sprzyjało, a nie przeszkadzało podjęciu pytań podstawowych ze więcej wolności będzie sprzyjało, a nie przeszkadzało docieraniu do prawdy, przekonaniu, że prawda istnieje, że - krótko mówiąc - myślenie ludzkie ulegnie jakby oczyszczeniu, a nie zastąpieniu i splątaniu. Najbardziej zaś zaskakujące jest to, że w trakcie uwalniania człowieka od kolejnych jego ograniczeń - a przecież uwalnianie to rzeczywiście się dokonywało i dokonuje - ostatecznie lub w znaczeniu uległy podstawowe i często odruchowe przeświadczenia i pojęcia o Bogu, o Prawdzie, o Sensie, o Dobru i Pięknie.

Jak to się mogło stać? Przyczyn być wiele. Nie tu interesuje jedna, która w ramach prowadzonego toku rozważań uważam za naczelną: klanowicie racjonalizm, liberalizm, socjalizm, psychoanaliza itd. stworzyły nadzieje, sformułowaly obietnice, których nie dotrzymały, bo dotrzymać /jako techniki w najlepszym razie, a nie systemu metafizycznego/ nie mogły. A kultura europejskiej świadomości tej niemożności zasadniczej pojawiła się bardzo wcześnie. W XIX w. było to już dla bardzo wielu umysłów jasne, ale była to jasność intelektualna, być może orakowało jeższe faktów. Po i wóźnie światowej faktów już nie brakowało, a jednak zbudzenia racjonalistyczno-liberalno-socjalistyczne psychoanalityczne uległo raczej wyciszeniu. Tak jakby porażka skłaniała do dalszych poszukiwań, ale w tym samym kierunku, który przecież już okazał się błędnie obrany. Naprawdę zdumiewająca z tego pun-

ktu wiazania była trwałość tego sjudzenia po II wojnie światowej i doświadczeniach nazizmu, oras atalinizmu. Jak zrozumieć Louniera, który naczytał się i wiele zrozumiał z Nietzschego, aby zaraz potem dawac upust komicznie naiwnym a czasem grobnym nadziejom? Jak zrozumieć postawę intelektualistów, którzy z zachwytem przyjmowali marksizm-stalinizm w jego najbardziej wulgarnych wydaniach? Jak zrozumieć liberałów zachodnich, którzy unaznani falą ekonomicznej prosperity raz jeszcze zetracili się w technologicznym gadulstwie o nowej erze, którzy wierzyli, że należy prowadzić wojnę w Wietnamie w obronie demokracji? Częściowo można to wyjaśnić wspomnianym już brakiem tej części mózgu, która zawiera ośrodek metafizyki, ale poza tym była bezmyślność, bezmyślność w odniesieniu do historii i rzeczywistości.

Jak oto myśl liberalna miała świadomość kolosalnych sukcesów, jakie odniosła, a równocześnie kolosalnych porażek. Nadmierne już banalny mechanizm psychiczny popychał jej kontynuatorów do postępującej relatywizacji prawdy, postępującego krytycyzmu i wreszcie wzrastającego poczucia tragiczności, bezsensowności ludzkiego życia. Jak widac więc racjonalistyczno-scientystyczny optymizm liberalizmu i poczucie tragiczności oraz absurdu w odniesieniu do pytań egzystencjalnych i metafizycznych nie są ani poglądami przeciwstawnymi, ani sprzecznymi, to tylko dwa oblicza tej samej mentalności liberalnej zachwyconej swoimi cywilizatorskimi sukcesami i uznającej za sztywne wszelkie prace nad poszukiwaniem rzeczywistości obiektywnej, odrzucającej domniemanie Prawdy, głoszącej tragicomiczny postulat przekraczania siebie.

Propagandowe, naoczne oddziaływanie sukcesu cywilizatorskiego było i jest tak mocne, że w oczach większości mieszkańców zachodnich krajów przesłania lub ułatwia przesłonięcie tego drugiego oblicza mentalności liberalnej, ale dla bardziej wrażliwych lub uwrażliwionych z racji wykonywanego zawodu dwoistość ta stanowi trudność, której rozwiązać nie potrafia, a która nie rozwiązana, stale odiskajac się na myślenie o wszystkim, przynosi konsekwencje o charakterze schizofrenicznym w doświadczenia rozumieniu. Jak bowiem ma z taką dwoistością żyć i tworzyć artysta? Jak miałby myśleć filozof? Która rzeczywistość jest ta, jaką miałby opisywać pisarz lub poeta? I która wreszcie jest ta, do jakiej miałby p.sychyłać się ksiądz? A przecież tylko nieco bystrzejszy i wrażliwszy obserwator współczesnego świata dostrzega także kolosalne zagrożenia dla tej dwoistej struktury, z którą jednak jakos się żyje, zagrożenia pochodzące z zewnątrz, z przedziwnego Trzeciego Świata. I już wiadomo, że liberalizm jako technika nie bardzo sprawdzi się, próbując w sposób łagodny przeprowadzić tę nową i nieuchronną demokratyzację, że liberalizm nie wystarczy, nie nadaje się do tego zadania, które musi być rozwiązane, jeżeli ma dalej trwać, do czego tak jesteśmy przywiązani, a co nazywamy kulturą europejską. Wspominam o tym, ale nie miejsce tu na rozwinięcie tego problemu.

Aryticy liberalizmu - powracam tu do początku tej części rozważań - myślą najczęściej na dwa sposoby: albo dostrzegając zgnębłą niewrażliwość mentalności liberalnej na metafizykę i świat secum odrzucają całość liberalizmu, obu jego oblicza, a więc i te cywilizatorskie, albo apelują o umoralnienie, uduchowienie, dostrzeganie wyższych wartości, proszą maszynę /technikę/, by była dobra. Istnieje wreszcie trzeci typ krytyki, czy raczej lamentu nad tym, jaki to okropny i beznadziejnie nienaprawialny jest ten świat.

Krytyka liberalizmu jest więc we wszystkich przypadkach krytyką negatywną. Wynika to z tego, że istnieje tylko albo krytyka zewnętrzna, całosciowo negatywna, albo krytyka wewnętrzna, która jest ograniczona do drobnych korektur przeprowadzanych z wielką dbałością o nienaruszenie sprawnego funkcjonowania całego mechanizmu. Mechanizm jest zresztą delikatny ale potężny i co pewien czas pojawiające się zagrożenia wchłania lub rozprasa tak, że nic lub niemal nic z nich nie zostaje. Tak przecież było z racjami młodzieżowymi i całą kontrkulturą lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. W najgorzej razie stwarza się dla tych zagrożeń stałe i zamknięte tereny, swoiste ogrody zoologiczne dla dziwaków, awangardowych artystów, seksualnych mniejszości itp., które tylko przysparzają barwności, a nikomu specjalnie nie szkodzą.

Krytyka zewnętrzna jest także wchłaniana lub zbywana wruszeniem ramion. Pamiętam, jak stukałam w Teksaas wystąpienia czarnego profesora, emigranta z Ugandy, który najszumszniej w świecie wzywał zachodnich intelektualistów do uwzględniania racji moralnych w ocenie spraw międzynarodowych, do tego, by walczyc przeciwko sku, które dzieje się w jego kraju, mówiąc, że my tu sto spokojnie pijemy sobie sherry, a w jego ojczyźnie w tym samym czasie torturuje się ludźi. Przypomniały mi się filipiki polskich dziwiactwo-

wiecznych myślicieli politycznych przeciwko amoralizacji polityki międzynarodowej, filipiiki, które spotykały się z takim samym przyjęciem. Niby to nieprzyjemnie, że kogoś gdzieś torturują, ale, po pierwsze, co na to poradzić, a po drugie, oskarżenia są za mocno formułowane. Nasz świat, świat mentalności liberalnej nie jest taki znowu zły, potrafiłszy wielu odmianom zła zarazić, a właśnie taki jednoznaczny moralizm, wprowadzenie ducha krucjaty i, nie daj Boże, nadanie aoralności publicznej i życiu społecznemu wyraźnie i niewątpliwie religijnej podstawy, może najpoważniej za grozić delikatnej strukturze liberalnego mechanizmu. Mentalność liberalna nie opuszcza bowiem do udziału spraw ważnych i poważnych w życiu publicznym, miejscem dla nich właściwym jest życie prywatne, ewentualnie uniwersytety, odpowiednio stowarzyszenia świeckie i religijne. Filozofia i religia precz od życia publicznego. Cóż więc dziwić się filozofom, że mają poczucie nieprzydatności, że krytykują samych siebie, że zjadają swój ogon? Cóż więc dziwić się artystom, że dzielą pracę uprawiając coraz bardziej hermetyczne lub niezrozumiałe masy dla nich samych formy sztuki, skoro mówią sobie: waga z wazony naszymi, stającymi jednostronnymi poglądami i teoriami od spraw publicznych, od historii, od moralności! Aby to dostrzec wystarczy porównać związek Szekspira z rzeczywistością

spraw ludzkich i publicznych jego czasów i podobny związek Becketta. Cóż więc dziwić tym artystom, którzy takiego oświecenia i niemal przymusowej izolacji nie wytrzymują i uprawiają sztukę eklektyczną, sceptyczno-ironiczną, w której jest wszystko po trochu, nie ma zaś żadnego poglądu, żadnej zdecydowanej opcji. Oni mechanizmowi liberalnemu nie zarzucają i dlatego są lubiani, rozpieszczani, psuci, smablowani. Zwiększa kiedy potrafią stworzyć dzieła technicznie nadzwyczaj sprawne, trafne iluzje, rozkoszne przygody, mocne przeżycia, które trwają dwie godziny i po których nie trzeba się specjalnie przejmować i można pójść zjesć dobrą kolację. Ten kult formalnej doskonałości, umiejętności tworzenia prawdopodobnej iluzji jest przecież tak bliski cywilizatorskiemu optymizmowi. Ate - jak Spielberg i Lucas - dobrze to rozumiał, ten produkując "Gwiezdne wojny", "Szczurki" czy "Poszukiwaczy zagubionej arki" zarabiał miliony. Sam przecież lubił takie filmy. fajerwerki umowności tak świetnie zrobione.

Krytycy liberalizmu krytykujący z zewnątrz stawiają się sami na porządku, która polega albo na unicestwieniu i pójściu w niepamięć, albo na otrzymaniu

odpowiedniej klątki w jednym z wielkich zoologów naszych miast, kiedy atakują liberalny mechanizm w jego mocnych punktach, kiedy ponadto atakując go, próbują zniszczyć sam dobroczynny przeciwieństwo mechanizmu, na którego zniszczenie mogą się puszcząć tylko szalenci lub barbarzyńcy. A dlaczego to liberalna kultura europejska miałaby słuchać szaleńców lub barbarzyńców? Jedyne punkty krytyki rokujący pewną nadzieję, to krytyka niewrażliwości liberalizmu na problematykę duchową. Na taką krytykę liberalizm uprawdnie wyszykował sobie już odpowiedź, ale - jak sądzić - jest to odpowiedź słaba, o charakterze albo autodestrukcyjnym, jak to ma miejsce w przypadku filozofii racjonalistycznej, albo unikowym - przy pomocy prostego zatkania uszu i udawania, że nic się nie dzieje. I są wreszcie najczęściej przytoczane argumenty z historii.

Lód się mianowicie, że były przecież czasy mocnych poglądów, czasy, kiedy ludzie ginęli w rezultacie sporu o formę, w jakiej ma być przyjmowana komunizm św., o to, czy wolno mieć niewolników, o demokratyczno-liberalny lub komunistyczny system rządów. Ba, i dzisiaj ludzie giną w rezultacie podobnych sporów, tyle że nie dzieje się to w obszarze bezpośredniego wpływu liberalizmu. Muzycanie zabijają się, bo różnią się poglądami religijnymi w obrębie jednego wyznania. Afrykańscy, Azjaci i Południowi Amerykanie, bo spierają się o politykę. I dlatego anarchiści, nieprzyjemni i niebezpieczni, nie stanowią jednak dla świata liberalizmu poważnego zagrożenia, bo to przeciwieństwo barbarzyńcy, którzy chcieliby podważyć, zniszczyć delikatny mechanizm przy pomocy metod, z którymi nauczyli się on już walczyć, z którymi dał sobie radę w kolejnych, w setki już idących próbach. Anarchiści - występują tu w roli proroka - nie są i nie będą niebezpieczni, dopóki ich zasada działania polega na stosowaniu gwałtu oraz atomowaniu argumentami ideologicznymi zapożyczonymi z muzeum europejskich skrajności ideologicznych. Jeżeli, co nie jest wykluczone, znajdzie się taki człowiek, takie ugrupowanie, które natrafi na właściwy, poważny, dynamiczny i tworzący ton metafizyczny o społecznym rezonansie, wówczas jego powodzenie może być zaskakująco duże, a odpowiedź mentalności liberalnej będzie zaskakująco słaba. Nie należy więc obawiać się odrodzenia faszyzmu, ani żadnych innych tragikomicznych mętności ideowych, ale anarchizmu lub innej odmiany barbarzyństwa, które na sprzą-

jącym mu podglebiu psycho-społecznym wzrosnie w błyskawicznym tempie stwarzając prawdziwe zagrożenie dla kultury europejskiej zwłaszcza tam, gdzie mentalność liberalna dokonała najwiśszych spustoszeń w zakresie stosunku człowieka i społeczeństwa do rzeczywistości duchowej, do Prawdy.

Tyle na boku. Dla nas ważniejszy jest jednak problem argumentu historycznego: czy rzeczywiście - jak uznają liberalni - silnej wierzcie, silnym poglądom zaciętość towarzysząca prowadząca tu i ówdzie do przemocy, do zaprzeczenia tym spośród liberalnych zasad, tym elementem "liberalnego minimum", bez których nie można dzisiaj myśleć o kulturze europejskiej? To znaczy: czy obawy obrońców rozmaitych zresztą wersji i odmian mentalności liberalnej, czy strach przed religijno-filozoficzną nietolerancją są uzasadnione? Oraz przeciwnie: czy sam liberalizm nie zawiera w sobie pewnego typu nietolerancji?

Na ostatnie pytanie można odpowiedzieć przypominając opinię Stefana Kisielewskiego, który pisał o terroryzmie lewicy i terroryzmie prawicy, terroryzmie totalitarnym, ale dodawał do tego "terroryzm bezideowości" wskazując na "wiadomości literackie", reakcje w Polsce ośrodek mentalności liberalnej. Istotnie, jak była mowa, mentalność liberalna jest nietolerancyjna, kiedy uniemożliwia powagę, kiedy czyni komicznym lub nieprzyzwoitym poddawanie spraw społecznych zasadniczym ocenom podejmowanym na filozoficznych lub eschatologicznych podstawach. I nie jest to gra słów - nietolerancja jest rzeczywista i skuteczna, aczkolwiek nie powoduje ona postępowania się gwałtem i fizyczną przemocą. Jej działanie poczuł na sobie każdy, kto wdał się w poważną rozmowę z przedstawicielem mentalności liberalnej, a w szczególności z człowiekiem, który jakos jest związany ze sprawami publicznymi w jednym z krajów liberalnego Zachodu. Polak postawiony w takiej sytuacji najczęściej się uskarża, że "oni" nie doceniają naszej walki, naszych trudności, naszej sytuacji. Ale to jest naturalne i zrozumiałe. Idzie tu o coś znacznie ważniejszego. Bo kiedy pada pytanie o to, dlaczego jest tak, jak jest w tej lub owej dziedzinie, a zaczynamy odpowiadać przywołując argumenty zasadnicze, racje filozoficzne, historyczofizyczne lub, o groźno, teologiczne, dostrzegam na twarzy rozmówcy wyraz beznadziejności i bezkresnej nudy. Wyłizby się, kto by sądził, że jego nasze sprawy nie oschochą, że pytanie miało grzecznościowy charakter. Nie, on jest naszymi sprawami przejęty, ale on z tego rodzaju odpowiedzi nie potrafi nic zrobić, ona jest

dla niego nieprzydatna. Ożywi się natychmiast, jeżeli mu odpowiem w kategoriach gry, jak tu nacisnąć, to może będzie taki a taki efekt, gdyby ta frakcja wygrała to tyłoby tak, a gdyby tamta to inaczej. W mentalności liberalnej i w mechanizmie demokracji liberalnej nie ma miejsca, nie ma zastosowania dla racji zasadniczych, możliwa jest tylko regulacja, gra, której skutki można racjonalnie przewidzieć. Mówienie o tym, że zagrożenie dla całej kultury europejskiej, że wartości mają charakter nierelatywny itd., itp., jest w ramach mentalności liberalnej traktowane jako rodzaj poezji politycznej, czasem ładnego ornamentu, czasem niebezpiecznej, czasem pobudzającej, ale zawsze i zasadniczo nieistotnej.

Nie należy powyższych uwag traktować jako nagany. Przeciwnie, żywią rodzaj zachwyty dla skuteczności i konsekwencji działania autoregulacyjnego i immunologicznego mechanizmu liberalizmu. Nie może tu być mowy o naganie, a jedynie o przerażeniu, jakie ogarnia mnie, kiedy zdaję sobie sprawę, iż jakie prawdopodobna zmiana koniunktury, iż jakie prawdopodobny nowy typ zagrożenia zewnętrznego, na które mentalność liberalna nie będzie immunizowana, może całkowicie zniszczyć ten świetnie funkcjonujący mechanizm. A przy tym jak najdalej jestem od kasandrycznych upodobań tych myślicieli, którzy od samego początku rozwoju liberalnej demokracji wieszczą jej zmlerch, którzy w byłe kontestacji lub byłe awangardzie upatrują kres kultury europejskiej. To, co piszę, służy nadziei, że liberalizm, który dokonał tak wielkich rzeczy, tak przekraczających wszystko w zakresie cywilizacji i kultury politycznej, co ludzkość zdołała stworzyć przez tysiąclecia, podejmie nowe zadanie, zadanie wiążące duchowego aspektu świata, metafizycznych potrzeb człowieka, zadanie życia w prawdzie, zainteresowanie docieraniem do transcendentnej prawdy, domniemaniem tej prawdy, że liberalizm całą tę sferę ludzkiego życia, całą tę sferę rzeczywistości, po sferze prawnej, oświatowej, ekonomicznej, włączy do swego autoregulującego mechanizmu, że dokona następnego wielkiego kroku.

Bo właśnie. Ale w tym celu niezbędna jest reorientacja mentalności liberalnej. Odpowiedź więc wreszcie na pytanie, czy reorientacja taka jest teoretycznie i społecznie możliwa bez naruszenia samych podstaw liberalizmu?

Pierwsza odpowiedź jest negatywna. W aktualnym stanie mentalności liberalnej ani dostrzeżenie, ani tym bardziej przyjęcie konsekwencji prymatu rzeczy-

wiedomości duchowej jest niemożliwe, nieprawdopodobne. W pewnym, wąskim i ciasnym zakresie, w wieku XIX i w pierwszej poł. XX w. ideologie stanowiły w ramach mentalności liberalnej odniesienie do tego czasu poza czy ponad, a w każdym razie ideologie głoszą istnienie nierelatywnych wartości. Fascynacja ideologicznymi programami tadu społecznego stanowiła, zresztą także formę odejścia od problematyki duchowej, tyle że dostarczała ludziom namiastki duchowego życia. Ale ten rodzaj ideologii i taka fascynacja należą już do epoki minionej. Także tu liberalizm, "terroryzm bezideowości" odniosły przemocę zwycięstwa. Co pewien czas jakies grupy próbują zebrać do kupy i tchnąć życie w te szczątki, lecz najczęściej służą to konkretnym celom politycznym, a z prawdziwym wysiłkiem umysłowym ma niewiele wspólnego. Bez względu na, zresztą, coraz rzadsze, deklaracje ideologiczne, wybitni myśliciele naszych czasów są pozaideologiczni. Daniel Bell, Isaiah Berlin, Hannah Arendt, Leszek Kołakowski, Raymond Aron, Alain Besançon - to socjalistyczno-liberalni-konserwatyści, według świętej formuły Kołakowskiego. Jesztykie ważniejsze zachodnie partie polityczne przyjmują i akceptują "liberalne minimum". W polityce zresztą proces ten rozpoczął się już w XIX w. Kiedy po kawiarniach intelektualistów dyskutowali wizje świata, politycy najbardziej rozwiniętych demokracji liberalnych nie bardzo na to zważali. wiadomo im już było, że delikatny mechanizm demokracji liberalnej nie znosi gwałtownych wstrząsów, więc programy całościowych zmian nie miały żadnej praktycznej szansy. Sztucznie, w pewnym sensie, dyskusja została b-żywiona przez dwie całkowicie odmiennie dokonujące się interwencje z zewnątrz: przez krótki czas faszyzmu i znacznie poważniejszego komunizmu poudzieliły najważniejsze spory wieku dwudziestego. Dziś jednak dostrzegamy już pozorny, bezpodany intelektualnie charakter tych sporów, które, co najwyżej, przyspieszyły upowszechnienie i poszerzenie "liberalnego minimum". Bez jeszcze po serii tragikomicznych przygód, które przez pewien czas fascynowały intelektualistów, a potem dały im kolejny asumpt do zwątpienia w samych sobie i w swój elementarny rozsadek, mentalność liberalna odniosła zwycięstwo.

Z tej porażki intelektualistów i kolejnego sukcesu "mentalności liberalnej" można - jak sądzić - wyciągnąć bardzo poważne wnioski. Otóż - pisano o tym często - rzeczywistość i projektowana rola intelektualistów ulega stopniowemu, lecz niestannym ograniczeniom. Śmieszne byłoby wspominać platońską wizję rządów filozofów, lecz w trakcie ostatnich dwudziestu lat od *hommes de lettres* oświeceniści, którzy bez najmilszej wątpliwości zmienili świat i uczynili rewolucję francuską możliwą, przez wielkich wizjonerów rewolucji lub rozwoju społecznego XIX wieku, nie zawsze już się chanych przez polityków, lecz przecież kształtujących atmosferę myślową swoich czasów, po zajadych fellow travellers dwudziestowiecznych ideologii totalitarnych i ich sceptyczno-kostycznych przeciwników z uniwersyteckich katedr, rola już nie praktyczno-polityczna, lecz nawet wpływ na uosobienia społeczne, na życie kulturalne społeczeństw, poszuch dawany intelektualistom uległy znacznemu, kolosalnemu wręcz ograniczeniu. Zastępczą kładzie się to na karb okoliczności społecznych lub dostrzega się wnąg samych intelektualistów, którzy jakoby zaprzeczyli swojemu powołaniu, utracili chęć i zdolność do obiektywnego, chłodnego krytycyzmu, a tym samym przestali być społecznie przydatni. Niewątpliwie, przyczyną tej utraty znaczenia i wpływu przez intelektualistów było wiele, lecz w moim przekonaniu najistotniejszą stanowi zasadniczo antyintelektualne nastawienie mentalności liberalnej. Jeżeli mówić o winie, to "winę" upatrywałbym w tendencji mentalności liberalnej do eliminowania Prawdy. Najłatwo by więc mówić nie tyle o "terroryzmie bezideowości", ile o "terroryzmie antyintelektualnym".

Terroryzm ten jednak ma charakter liberalny właśnie, to znaczy, kto oczekuje powszechnej akceptacji, ten musi się wprzeznąć lub dać wprzeznąć w liberalny mechanizm. Przymusu wszelako, przymusu fizycznego jednak nikt nie stosuje. I tu zaczyna się sadziwiająca historia, bo przecież intelektualści XIX i XX w. w ogromnej części byli nonkonformistycznie nastawieni. Nonkonformizm ten miał wszelako charakter negatywny. A w każdym razie ów negatywny charakter początkowo, w pierwszej połowie XIX w., jeszcze w postaci symbolistów, jeszcze w malarstwie postimpresjonistów, jeszcze u Strawińskiego i jeszcze czasem dzisiaj był najczęściej związany z pozytywnością, z konkretnym zachwytem lub konkretnym światem, z harmonijną twórczością wyobraźni. Latwiej było o to w sztuce niż w myśleniu czysto pojęciowym. Wyobraźnia artysty nie może żyć się czystą negatywnością oraz lamentami i samoudręczeniem, artysta zawsze, choćby był to proces nie świadomy, poddaje materię pewnej "spirytualizacji". W dziele sztuki zawsze istnieje /w jako tako udany dzieło sztuki/ odniesienie do najgłębszej wyobraźni rzeczywistości duchowej, a więc jakies dominiowanie

prawdy, jakaś forma pozytywności. Na tym ile łatwo zresztą pojąć, że pewne wynaturzenia sztuki współczesnej w gruncie rzeczy nic lub niewiele wspólnego mają ze sztuką. Są rezultatem tego, że ludzie pozbawieni talentu, a za to przesłanki wyspekulowanym katastrofizmem lub sceptycyzmem, żyjący w wielkim strachu przed Prawdą, której choćby domniemanie natychmiast uprowadziłoby do ujawnienia szwartościowego charakteru ich twórców, zerują na banalnie negatywnym odruchu wobec cywilizacji i jej destrukcyjnych /a tak dobre znanach/ konsekwencji. Zerują, bo niczego nie do- dają, żadnej wiedzy o rzeczywistości.

W porównaniu z tym bardziej doniosły był wkład w kulturę intelektualnych nonkonformistów, którzy nie dysponując deską ratunkową w postaci wyobraźni i konkretu, nonkonformizm swój kierowali ku wszystkim odogom i konsekwencjom mentalności liberalnej. Jednakże z tą krytyką, z tym przecież potrzebnym nonkonformizmem stało się wkrótce coś złego. Nastąpiło przynębiające wysuszenie racji i sposobów ich prezentowania. Tragedia i samotność stały się trywialne, negatywne aspekty cywilizacji przedmiotem towarzyskiej rozmowy przy kolacji. Został popełniony znany i mimo to często powtarzany błąd. Walkę przyjęto na polu wyznaczonym przez przeciwnika i natychmiast stracono szansę, na podjęcie tematów nieobecnych lub obecnych w zapiekowanej jedynie postaci w obrębie mentalności liberalnej. Że tak być nie musiało i nie musi, świadczy początek tej walki podjętej przecież równocześnie z narodzinami i rozwojem mentalności liberalnej. A walka ta, walka pozytywna, nonkonformizm, który nie miał li tylko negatywnego charakteru, był cechą wątków umysłowych spychanych przez mentalność liberalną na bok, aż wreszcie trafili do współczesnych socjologów. Taki przecież był los w kulturze europejskiej podstawowego w tej kwestii przesłania romantyzmu.

Marcin Aró!

/Przytaczamy za Anakeem, nr. 34./

TADEUSZ PIETRUCHA

"Światopogląd naukowy"

Na peryferiach obłąkowej świadomości marksistowskiej do dziś krąży jeszcze pojęcie tzw. "światopoglądu naukowego". Można się z nim spotkać nie tylko na kursach ideologicznych, czy na zajęciach ze szkolenia politycznego w wojsku, ale także w wielu popularnych wydawnictwach o problematyce światopoglądowej.

Czy przy współczesnym pojęciu nauki możliwe jest jeszcze utrzymanie tego pojęcia bez naruszenia jego treści? Jak w ogóle doszło do powstania tzw. "światopoglądu naukowego"?

Zanim przejdę do refleksji nad tymi zagadnieniami, chciałbym wyjaśnić, jak rozumiem termin "światopogląd". Z wielu bardzo różnych definicji spotykanych w literaturze najbardziej przemawia do mnie określenie zaczerpnięte z "Małego słownika terminów i pojęć filozoficznych", które charakteryzuje go jako "zespół ogólnych przekonań i twierdzeń składających się na spójny - przynajmniej w oczach jego zwolenników czy wyznawców i c a i o s o i o w y /podkr. moje - T.P./ obraz rzeczywistości /tego co istnieje/ oraz związanych z nimi ocen i norm wyznaczających postawy i u-kierunkowujących postępowanie podmiotu względem siebie i otoczenia".

Ydaje mi się, iż jest to definicja w miarę zgodna z najpowszechniejszymi odczuciami i intuicjami w tym zakresie.

Historia "światopoglądu naukowego" ma swój początek w okresie XIX wieku i jest związana z kierunkiem filozoficznym - pozytywizmem. Twórcą pozytywizmu, August Comte /1798-1857/, przedstawiając historię rozwoju ludzkości, wyróżnił w niej trzy fazy:

- fazę teologiczną, w której ludzkość tłumaczyła sobie zjawiska odwołując się do uczuć, duchów, bogów;
- fazę metafizyczną - świat przynależy tłumaczono sobie poprzez abstrakcyjne pojęcia, np. takie jak materia, byt, Bóg /była to faza intelektu/;
- fazę filozofii pozytywnej.

Był to ostatni i zarazem najwyższy etap rozwoju ludzkości. W fazie tej ludzkość miała być wolna od mitologii i metafizyki. Comte zdecydowanie wykluczył religię i metafizykę z ludzkiego poznania jako sposoby przestarzałe, nieodpowiadające obecnej fazie rozwoju. Prawdziwy obraz świata miało nam zapewnić poznanie oparte na faktach, a nie takie, które odwoływały się do Boga i sił nadprzyrodzonych czy pojęć abstrakcyjnych. Realizuje się ono według comte'owskiej teorii nauki, czyli "filozofii pierwszej" poprzez pięć nauk podsta-

wowych: astronomię, fizykę, chemię, biologię i socjologię. Ten typ filozofii, ten sposób rozumowania przeżył scjentyści.

Zanim spróbuję wyjaśnić, czym był scjentyzm dla uczonych XIX w., pragnęlibym jeszcze zwrócić uwagę na sytuację w ówczesnej nauce, na zmianę atmosfery w filozofii. Przemiany zarówno w nauce jak i filozofii tworzyły korzystne warunki, które umożliwiły powstanie i rozwój tzw. "światopoglądu naukowego".

W drugiej połowie XIX w. nastąpił burzliwy rozwój nauk przyrodniczych. Swój rozkwit przeżywa wówczas klasyczna newtonowska fizyka, której odkrycia znajdują liczne techniczne zastosowania. Wiele znaczących wydarzeń miało miejsce w biologii. Może właśnie na jej przykładzie najlepiej widać, jak duży skok w przelocie dosięgnął krótkiego okresu czasu nastąpił w postępie ludzkiej wiedzy, odnoszącej się do poznania przyrody, świata bezpośrednio otaczającego człowieka. Wspomnę tutaj tylko niektóre ważniejsze fakty z historii rozwoju biologii tamtego okresu. I tak w latach 1838/39 została sformułowana teoria budowy komórkowej zwierząt i roślin przez Schwana i Schleidena. Lata 1857-1890: w tym czasie przeprowadza swe badania Ludwik Pasteur. Jego odkrycia stworzyły podstawy współczesnej mikrobiologii, przyczyniły się w sposób znaczący do obalenia teorii samoródkstwa. W roku 1859 wychodzi słynne dzieło Karola Darwina "O powstawaniu gatunków", w którym to angielski uczone przedstawił koncepcję doboru naturalnego, zarys klasycznej teorii ewolucji. 1866 r. prace Gregorza Mendla, tworzące podstawy genetyki. 1864, 1866 - prawo biogenetyczne opracowane przez F. Mullera i E. Haeckla. 1869 - odkrycie kwasów nukleinowych przez Mieschera. 1875 - odkrycie kariokinezy /podziału jądra komórkowego/ przez W. Mayzela. 1888-1904 - podstawowe prace Pawłowa /teoria odruchów warunkowych/. 1904 - A. de Vries - teoria mutacji. Nawet postronny obserwator nauki mógł więc łatwo dostrzec zarówno skuteczność metody, jaką posługiwali się nauki przyrodnicze /biologia/, jak i jej ekspansywność.

Także sytuacja w filozofii ówczesnej wytworzyła sprzyjającą atmosferę dla zaistnienia "Światopoglądu naukowego". Działają w tym okresie wybitni krytycy religii, tacy jak Mojżesz Hess czy Ludwik Feuerbach. Książki "O istocie chrześcijaństwa", "Wykłady o istocie religii" przyczyniły się w znacznym stopniu do stworzenia podstaw współczesnego materializmu, w którym wszelkie życie duchowe traktuje się jako wytwór przyrody. Na ten okres przypada szczyt twórczości Karola Marksa i Fryderyka Engelsa. Materializm jako doktryna filozoficzna zaczyna sobie torować drogę także wśród ówczesnej inteligencji.

Tak więc znaczące odkrycia naukowe, które były niewątpliwym postępem człowieka w poznaniu otaczającego świata, zbiegły się z krytyką religii, z odejściem w filozofii od nurtu idealistycznego, spirytualistycznego. Sukcesy nauki budziły podziw i uznanie dla niej. Stwarzały przesłanki dla głoszenia optymizmu poznawczego. Znalazło to swoje odbicie w wersji pozytywizmu - scjentyzmie. Jego główne tezy głosiły, że:

1. Dzięki rozwojowi nauk przyrodniczych /i modelowanemu na ich wzór naukom społecznym/ w niedługim już czasie będzie można wyjaśnić i rozstrzygnąć wszystkie zagadki i tajemnice budowy świata /wbrew teologii, która mówi o tajemnicy, o niemożności poznania wszystkiego/. Przyrodę można zrozumieć i wytłumaczyć odwołując się do nauki.
2. Świat ma jedną naturę, wszystko należy do jednego świata, podlega wspólnym prawom. Świat jest zespołem faktów i niczym więcej. Wzorem dla wszystkich nauk miały być nauki przyrodnicze, a zwłaszcza fizyka. Należało je uprawiać właśnie na wzór fizyki.
3. Nauka jest faktem, który tłumaczy się sam przez się. Dysponuje ona metodą niezawodną, pewną, zapewniającą skuteczną skuteczność ludzkiemu poznaniu.
4. Dzięki nauce możliwe będzie zaspokojenie wszystkich możliwych potrzeb ludzi i wyeliminowanie trapiących ich bolączek.
5. Nauka służy jedynie szczęściu ludzkości, człowiek zaś jest z natury istotą racjonalną i dobrą.

Logiczną konsekwencją postawy scjentyistycznej było odrzucenie religii jako przesady, jako czegoś nie do pogodzenia z nauką, czegoś irracjonalnego. Według scjentyistów światopogląd religijny dawał wypaczony, nieprawdziwy obraz świata. W jego zrozumieniu i poznaniu funkcję Boga przejął nauka. Odwoływanie się do Boga straciło sens, skoro nauka może wyjaśnić nurtujące człowieka problemy czy zagadki. Jeśli się chce mieć pewny, prawdziwy obraz doświadczanej rzeczywistości, należy zredukować go do obszaru, jaki obejmuje nauka, a nie odwoływać się do wierzeń religijnych. Nauka jest w stanie dać całościowy pogląd na świat, wytłumaczyć i zrozumieć wszystko, jeśli nie teraz, to w najbliższej przyszłości. W jej zasięgu leżą wszystkie problemy nurtujące człowieka, w niej należy szukać lekarstwa na trapiące go bolączki. Opty-

mizm co do poznania naukowego był tak duży, iż jeden z ówczesnych wybitnych biologów, jednocześnie przedstawiciel scjentyzmu, Ernest Haeckel pozwolił sobie napisać książkę pt. "Zagadki wszechświata" /która w ciągu 10 lat miała kilkunastokrotnie wydać i tyleż tłumaczona na języki obce/, w której to wyjaśniał, że spośród ośmiu zagadek nurtujących odwiecznie człowieka, siedem zostało definitywnie rozwiązanych /m.in. kwestia początku życia, początku wszechświata/, zaś ósma, kwestia wolnej woli nie jest w ogóle zagadką, tylko problemem pozornym.

Inny przedstawiciel tego nurtu, Karl Pearson /1857-1936/, profesor na katedrze eugeniki im. Galtona w Uniwersytecie Londyńskim i dyrektor Narodowej Pracowni Eugenicznej twierdził, iż dysponujemy wiedzą pewną, która zawarta jest w nauce i tylko w niej. Co więcej, nauka posiada także misję moralną. Do ideału moralności możemy się zbliżyć jedynie poprzez rozwój nauki. Styka nie jest rzeczą uczucia lecz wiedzy, wiedzy naukowej.

Skoro więc nawet etykę można oprzeć na nauce, trudno znaleźć lukę, której nie można byłoby wypisać wiedzą naukową, a którą trzeba by było "zapisać" Bogiem czy jakimś innym bytem metafizycznym. Nauka w rozumieniu scjentyistów była w stanie zapewnić całościowy obraz rzeczywistości. Jeśli aktualnie nie można było czegoś naukowo wytłumaczyć, scjentyści byli przekonani, że będzie to możliwe w najbliższej przyszłości. Nauka jest w stanie ogarnąć wszystkie sfery ludzkiego doświadczenia. Dostarcza wiedzy pewnej, niezawodnej, tłumaczy świat bez odwoływania się do dogmatów, do wiary. Należy więc swój pogląd na świat, na sytuację człowieka w tym świecie oprzeć na nauce i tylko na niej. Skoro dysponuje ona tak mocnymi atrybutami, powinna więc być jedynym racjonalnym fundamentem, jedynym sposobem widzenia i rozumienia rzeczywistości do władzanej przez człowieka. Taki więc naukowiec, czyli wynikający z nauki, z jej "wszechmocny" światopogląd miał zapewnić całościową, prawdziwą wizję świata /jako że nauka dysponować miała metodą niezawodną, gwarantującą poznanie obiektywnej rzeczywistości/. Światopogląd taki powinien być powszechny, przynajmniej wśród ludzi oświeconych, ponieważ wywodzi się z nauki, nie opiera się na subiektywnych przeżyciach religijnych, na wierze, głosi prawdy obiektywne, które podlegają intersubiektywnej weryfikacji.

Chciałbym podkreślić, że ów scjentyistyczny światopogląd naukowy był nie tylko oparty na nauce. On cały opierał się w niej zawieszając, oczywiście, w modelu nauki, jakiego dostarczał scjentyzm. Głównie - by się nie mieszczało w tym modelu, nie mogło być skądinąd światopoglądem. Jego obszar jakby się zawierał w obszarze rzeczywistości dostępnej nauce, był do niej redukowalny.

Taki właśnie światopogląd, oparty na scjentyistycznej koncepcji nauki, przejął marksizm z okresu II Międzynarodówki. Uwaga ta jest o tyle istotna, jako że znacznie częściej kojarzymy go z marksizmem niż z filozofią scjentyistyczną. Owo przejęcie, zaadoptowanie światopoglądu scjentyistycznego na grunt marksizmu jest w dużej mierze zasługą jego czołowych teoretyków - przede wszystkim Kautskiego i Plechana. Jak wspominałem w wstępie, do dziś znajduje on zwolenników w swej pierwotnej wersji.

Jednakże dobre samopoczucie scjentyistów zaczęło powoli przysuszać już na początku XX wieku. Postępująca zmiana w atmosferze filozoficznej, osiągnięcia filozofii nauki dokonały swoistej rewolucji w rozumieniu nauki. Uświadomiono sobie pewne prawdy, których nie dostrzegali scjentyści. Można by je pogrupować w następujący sposób:

1. Nauka uzyskała nową samoświadomość. Okazało się, że jednak istnieją granice poznania naukowego na danym etapie rozwoju nauki. Owo doświadczenie granic było mocnym ciosem w wiarę w nieograniczone możliwości poznania naukowego. Oczywiście owe granice nie są niezmiennicze, mogą przebiegać inaczej, np. po zmianie paradygmatu naukowego, niemniej uświadomiamy sobie, iż zmiana paradygmatu nie musi pociągać za sobą ich eliminacji. Najpierw uświadomiono je sobie na granicy fizyki, nauki podawanej jako wzór siłowości i pewności. Klasycznym przykładem może tu być zasada nieoznaczoności Heisenberga, mówiąca o niemożliwości dokładnego poznania stanu elektronu /nie możemy jednocześnie określić położenia i pędu, w związku z tym można jedynie określić z pewnym prawdopodobieństwem przestrzeń, w której się on znajduje/. Sformułowana także została zasada ignorancji Hawkinsa, odnosząca się do fizyki czarnych dziur, która uświadomiła nam istnienie we wszechświecie pewnych obiektów i procesów nie poddających się naszemu poznaniu. Także znane twierdzenie Goedla /twierdzenie o niezupełności/ mówiące o tym, że dowolny system twierzeń musi być systemem niezupełnym, co oznacza, iż w systemie będą istnieć zdania, których prawdziwości nie da się udowodnić na granicy przyjętych aksjomatów, przyczyniło się do utraty pewności siebie wyznawców "omnipotencji nauki" /jak to właśnie określił L. Zilber/. Powstanie i rozwój nowych teorii fizycznych w znacznym stop-

niu zmieniło zarówno obraz świata jak i dotychczasowe wyobrażenia o nauce.

2. Nie do utrzymania jest teza głoszona przez scjerytystów o jedności świata. Istnieją teorie mające charakter dualistyczny. Np. teoria tłumacząca naturę świata dopuszczająca zarówno model falowy jak i korpuskularny. Wiele zjawisk we współczesnej biologii i fizyce tłumaczy się modelami komplementarnymi. Nie stawia się już ostrej alternatywy, np. pomiędzy holizmem a redukcjonizmem, dopuszczając jedno i drugie podejście w tłumaczeniu zjawisk obserwowalnych w świecie.

3. W wyniku analizy zjawiska, jakim jest nauka, poprzez filozofię nauki, okazało się także, że bynajmniej nie jest ona faktem, który tłumaczyłby się sam przez się. U jej podstaw tkwią również niewyjaśnione do końca założenia /"dogmaty"/, takie jak determinizm, absolutyzm, materializm /a więc nie tylko religia oparta jest na założeniach metafizycznych pełniących rolę dogmatów/. Współczesna filozofia nauki wykazała, że nie istnieje coś takiego jak metoda naukowa, gwarantująca absolutnie pewne, niezawodne i obiektywne poznanie. Nastąpiła powiedziabym wręcz rewolucyjna zmiana w pojmowaniu nauki. Współczesna nauka nie rości sobie pretensji ani do odkrywania prawdy absolutnej, ani do obejmowania całości ludzkiego poznania. Część doświadczanej rzeczywistości jest jak gdyby poza nauką /np. odczucie piękna, sensu, wartości/. Nauka zrezygnowała z ustalania norm etycznych, nikt spekulnie nie wierzy w jej "uszcześliwiająca" moc. Dopuszcza się nawet uznanie wartości poznawczej religii. Analiza języka nauki i języka religii wykazała wiele analogii między nimi. Ich wzajemne przeciwstawianie sobie jest w świetle tej analizy bezasadne.

4. I Wojna Światowa rozładła złudzenia, wiarę w naturalne dobro człowieka, w dające szczęście zastosowanie w technice osiągnięć nauki.

5. Czas pokazał, że nauka nie jest w stanie wyeliminować wszystkich bolączek trapiących człowieka ani tym bardziej zas, około wszystkich jego potrzeb. Pojawiały się nowe kierunki w filozofii /np. modernizm/, wyrażające protest przeciwko materialistyczno-deterministycznemu ujęciu człowieka i orientowaniu go na nieograniczone wytwarzanie dóbr materialnych. Nastąpiła nobilitacja metafizyki, spirytualizmu.

Model nauki, proponowany przez scjentyzm, zdezaktualizował się zarówno w wyniku rozwoju samej nauki jak i refleksji filozoficznej dostarczanej poprzez filozofię nauki. "Światopogląd naukowy" stracił więc swoją bazę. Co więcej, nauki nie utożsamia się z wartością, z dobrem, jak to czynił scjentyzm. Dodanie do czegoś przymiotnika "naukowy" bynajmniej nie powoduje nobilitacji, jakiegoś wyższości głoszonych poglądów, nie stanowi o ich wartości.

Upięcie się dzisiaj przy "światopoglądzie naukowym" wydaje się być anachronizmem. Nie jest on w stanie zapewnić czasowego obrazu rzeczywistości, bo nauka takiego nie posiada, nie ma nawet takich ambicji. Nauka nie zapewnia systemu ocen i norm. Przymiotnik "naukowy" stracił /przynajmniej w świetle współczesnej filozofii nauki/ zabarwienie wartościujące, nobilitujące.

Nie wyklucza to oczywiście np. światopoglądu materialistycznego opartego na nauce. Jest to jednak zupełnie co innego niż tzw. "światopogląd naukowy". Tam nauka stanowi jedynie jego część. Oparcie to polega najczęściej na jakimś uogólnieniu nauk szczegółowych w celu budowania obrazu doświadczanej rzeczywistości /przynajmniej znacznego jej obszaru/. Uogólnieniu podlegają wybiórczo teorie naukowe, jako że na gruncie samej nauki istnieją zazwyczaj zawsze alternatywne teorie o tym samym statusie epistemologicznym. Tłumaczące dane zjawiska. Nawet jeżeli chwilowo większość zwolenników zyska jedna z teorii alternatywnych, nie ma żadnej gwarancji, że nie pojawi się następna, jeszcze bardziej konkurencyjna. Wybór któregoś z nich jest zawsze wyborem opartym na czynnikach pozanaukowych. Światopogląd materialistyczny, jakim jest niewątpliwie światopogląd marksistowski, mówi o świecie, o człowieku znacznie więcej niż da się to naukowo zeryfikować. Ten "dodatek" spoza nauki jest konieczny dla zapewnienia całościowej i spójnej wizji świata i człowieka. Także sami marksiści dostrzegają ten problem, zdając sobie sprawę, że wersja scjentyistycznego "naukowego światopoglądu" jest nie do przyjęcia. Co prawda, popularność tego określenia sprawia, iż jest ono rzadko przedmiotem krytycznego namysłu. Postulowane są także próby jego "modernizacji". Jednakże wydaje mi się, że taka przebudowa musi być na tyle gruntowna, że spowoduje znaczne wyjście "poza naukę", a utrzymywanie tego terminu miałyby znaczenie jedynie reklamowe, obliczone na nieznaną przemię, jakie zaszły we współczesnej wizji nauki wśród ludzi nie zajmujących się profesjonalnie nauką, filozofią, czy filozofią nauki /a takich jest przecież zdecydowanie większość/.

Nie sposób dzisiaj uciec od aksjomatów, od sfery pozanaukowej w tworzeniu jakiegokolwiek spójnego obrazu świata. Jego istotnym elementem jest wiara. Nie-

koniecznie musi być ona rozumiana jako zawierzenie Bogu. Nie unikniemy jej fundując swój światopogląd na materialistycznej wizji rzeczywistości, postępujemy si, nią konstruując obraz świata oparty na nauce /wierzymy, że wybraliśmy najbardziej prawdopodobne teorie np. z zakresu biologii, kosmologii czy fizyki/.

Świadomość podobnej sytuacji, elementu ryzyka, niepewności /myszę, że nieobec są to stany także ludziom głęboko religijnym, żyjącym wiarą/, powinna nastąpić tolerancyjnie do ludzi wyznających inny światopogląd, likwidować dawne zacietrzewienie, wynikające ze złudnych nadziei pokładanych w nauce bądź z fanatyzmu czy nietolerancji ludzi wierzących. Nie negując wartości i roli nauki dla światopoglądu, należy docenić wartość sfery pozanaukowej /sfery wartości, sensu, piękna/. Jest to także miejsce spotkania i dialogu różnych orientacji światopoglądowych. Dialog taki nie musi wcale prowadzić do ujednolicenia stanowisk, jakiegoś totalnej unifikacji światopoglądowej, lecz powinien służyć lepszemu zrozumieniu racji przekonania ludzi wyznających odmienne światopoglądy. Dialog, tolerancja, rozumienie między ludźmi o odmiennych światopoglądach z pewnością bardziej przysłużą się pokojowi niż okolicznościowe spotkania Wysokich Przywódców na "wysokim szczeblu".

Podsumowanie

Scjentyistyczna koncepcja nauki doprowadziła do powstania tzw. "światopoglądu naukowego". Zarówno na gruncie samej nauki jak i rozwijającej się filozofii nauki doszło do zanegowania scjentyistycznego modelu nauki. Spowodowało to także reperkusje światopoglądowe. Nauka okazała się niewystarczającą bazą dla tworzenia spójnego obrazu rzeczywistości. Sama także nie jest wolna od metafizyki tkwiącej u jej podstaw. Zniknęła więc pewność i obiektywność w konstrukcji światopoglądów opartych na nauce.

Tadeusz Pietrucha

/Tekst nie autoryzowany, odwzroszony z zapisu magnetonowego /

ANDRZEJ KORASZEWSKI

DOKĄD ZMIERZA SZWECJA?

Od czasu, kiedy zachodni ruch robotniczy porzucił marksa dla programu gotajskiego, zdawać się mogło, że ruch socjalistyczny /czy też raczej socjaldemokratyczny/ znalazł formułę, pozwalającą na połączenie kapitalistycznej wydajności z podstawową wartością socjalizmu, tj. obroną ludzi pracy przed wyzyskiem. Rezygnacja z metod rewolucyjnych na rzecz parlamentarnych form walki z okrucieństwem warstw posiadających była ze zmianami struktury społecznej i faktem, że warstwa robotnicza, jeśli nawet nie uzyskała absolutnej większości, to stała się dostatecznie liczebna, aby tworzyć liczące się na arenie politycznej partie. Przemysłowe formy pracy, które ukształtowały się w drugiej połowie ubiegłego wieku - wielkie skupiska robotników z jednej strony oraz wzrost osiady warstw nieposiadających z drugiej - stwarzały warunki dla przełamania politycznego monopolu warstw posiadających.

Przejście od rewolucyjnych do parlamentarnych form walki zachodniego ruchu robotniczego było niewątpliwie rewolucją w onie tego ruchu i umożliwiło organizacjom robotniczym /partiom politycznym i związkom zawodowym/ formułowanie realistycznych i ograniczonych programów działania. Godząc się z istnieniem prywatnej własności, socjaldemokracja stopniowo wywierała naciski na rozszerzenie politycznych praw oraz udziału warstw nieposiadających w zyskach z pracy przemysłowej. Warunkiem powodzenia tych działań była oczywiście wysoka sprawność kapitalistycznego systemu wytwarzania dóbr materialnych. Równocześnie stopniowe, parlamentarne zwycięstwa ruchu robotniczego stosunkowo szybko zaczęły się ujawniać jako dodatkowe stimulatory systemu rynkowego. Wzrost siły wewnętrzne rynki zbytu i otwierali nowe pola przedsiębiorczości; wzrost kosztów siły roboczej zwiększał opłacalność modernizacji i mechanizacji pracy, co z kolei prowadziło do zmian proporcji między wykwalifikowaną i niewykwalifikowaną siłą roboczą. W ciągu dwóch generacji przemysł zachodni wielokrotnie zwiększył wykorzystanie intelektualnych możliwości zatrudnionych, minimalizując zapotrzebowanie na siłę ludzkich mięśni. Wskolwiek many tu do czynienia z bardzo złożonymi zjawiskami społecznymi, bez dowy-

popisania błędów można powiedzieć, że na jakość i tempo tych przemian socjaldemokratyczny ruch robotniczy wywierał w znacznym stopniu. W krajach zachodnich rezygnacja z rewolucyjnego programu Marksa i przejście do parlamentarnych form walki otworzyło wielu partiom robotniczym drogę do władzy politycznej, a z czasem do wyznaczenia się modelu państwa opiekuńczego. Model państwa opiekuńczego nie był wyłącznie tworem lewicowych intelektualistów. Kryzys finansowy lat dwudziestych skłaniał również wielu ekonomistów i polityków prawicowych do poszukiwania nowych rozwiązań pozwalających na złagodzenie wstrząsów społecznych, powodowanych cyklicznie powtarzającymi się kryzysami ekonomicznymi. Idee państwa dobrobytu łączy się z teorią Johna Keynosa. Państwo opiekuńcze jest jednak w pierwszym rzędzie tworem zachodniego ruchu robotniczego i jego organizacji politycznych. W wielu krajach zachodnich partie socjaldemokratyczne wygrały wybory i jako partie rządzące przeprowadzały reformy społeczne, zmierzające do zagwarantowania ekonomicznego bezpieczeństwa najgorzej uposażonych mieszkańców kraju. Państwo opiekuńcze nie znosiło rynekowych mechanizmów systemu ekonomicznego, stopniowo tylko zwiększając rozmiary wtórnie udzielonej części dochodu narodowego. Innymi słowy, podczas gdy komunistów dążyli do upaństwowienia środków produkcji, socjaldemokracja zmierzała do uspołecznienia części zysków z pracy opartej na prywatnej własności i zorganizowanej na zasadach rynkowych. Socjaldemokracja zdobywała władzę polityczną w drodze demokratycznych wyborów i zwiększała rozmiary wtórnie udzielonej części dochodu narodowego przez stopniowe reformy systemu podatkowego. Systematycznie wzrastające koszty siły roboczej oraz wzrost obciążeń podatkowych, ku zdziwieniu wielu ekonomistów, nie tylko nie rujnowały prywatnego kapitału, ale wręcz nakręcały koniunkturę. Wzrost płac i wzrost wtórnie dzielonej części dochodu narodowego nie tylko zwiększał się nabywczą ludnością, a tym samym rozszerzał wewnętrzny rynek zbytu, ale finansowane przez system podatkowy reformy społeczne stanowiły rodzaj zbiorowego funduszu inwestycyjnego, gwarantującego systematyczne doskonalenie siły roboczej /oswiata, opieka zdrowotna/, rozwój transportu, energetyki itp.

Symbioza państwa opiekuńczego z systemem rynkowym trwała co najmniej do roku 1973, kiedy to polityczna decyzja państw OPEC o podniesieniu cen ropy naftowej gwałtownie zaburzyła wszystkie dotychczasowe relacje ekonomiczne. Wydarzenie to poprzedziło inne interesujące zjawisko - w krajach zachodnich liczba robotników przemysłowych wzrastała do połowy lat sześćdziesiątych, później nastąpiło zahamowanie wzrostu i stopniowy spadek zatrudnienia w przemyśle. W krajach rządzonych przez socjaldemokratów pierwszą fazą tego zjawiska nie wywołała żadnych zaburzeń, ponieważ nadwyżkę siły roboczej wchłaniał gwałtownie rozwijający się sektor publiczny. Jedyńm jej skutkiem było wstrzymanie importu siły roboczej do przemysłu. Niektórzy badacze wysuwali wówczas hipotezę, że spadek ogólną liczbę robotników przemysłowych spowoduje również spadek liczby głosów, oddawanych w tych krajach na partie robotnicze. Do takiego wniosku skłaniała historia partii chłopskich, które w ciągu kilku dziesięcioleci stopniały do mało znaczącego marginesu na arenie politycznej państw zachodnich. Analogia ta była jednak zwodnicza, ponieważ partie socjaldemokratyczne, nie zmieniając swojej robotniczej ideologii, miały już nową klientelę wyborczą w szeregu pracowników i klientów sektora publicznego. W ruchu, który nadal nosił nazwę ruchu robotniczego, miejsca robotników przemysłowych stopniowo zajmowali pracownicy szkół i szpitali, urzędnicy kas opieki społecznej, urzędów pośrednictwa pracy, itp. Jeszcze przed drugą wojną światową kategorie te stanowiły drewny utłamek ogółu pracujących. Obecnie jednak jesteśmy świadkami jakościowej zmiany struktury społecznej. W Szwecji, którą wielu ludzi uważa za modelowe państwo opiekuńcze, 26% ogółu zatrudnionych pracuje w sektorze publicznym, dalsze 28% dorosłej ludności to renciści, emeryci, studenci, bezrobotni i inne osoby, które nie wytwarzają ani dóbr, ani usług i których utrzymanie spoczywa na podatnikach. Zaledwie 30% dorosłej społeczności w Szwecji to pracownicy najemni w prywatnych przedsiębiorstwach, a wreszcie 8% ogółu dorosłej ludności stanowią samodzielni przedsiębiorcy, z czego zaledwie jedna czwarta to producenci żywności. Tak więc dochody 54% dorosłej ludności szwedzkiej pochodzą z wtórnie dzielonej części dochodu narodowego.

Jakie konsekwencje podlega ta nowa struktura społeczna? Problem ten został niedawno podjęty przez dyrektora szwedzkiego Centrum Badania Opinii Publicznej /SIOP/, profesora Hansa Zetterberga. Zdaniem tego autora zbliżają się wybory w Szwecji są unikalne w skali światowej, gdyż po raz pierwszy bezwzględnie większość wyborców to ludzie uposażeni ze środków pub-

licznych. Dominują wśród nich sympatycy partii socjaldemokratycznej - stwierdza Hans Zetterberg. Jest to o tyle naturalne, że partia ta domaga się ekspansji sektora publicznego i rozszerzenia świadczeń socjalnych, zwalczając wszelkie tezy o przerzucie zatrudnienia w sektorze publicznym i wreszcie kanalizuje agresję społeczną za niepowodzenia gospodarcze na prywatnych przedsiębiorcach w przemyśle i w rolnictwie.

Jak pisze Hans Zetterberg, jeszcze w latach czterdziestych ruch robotniczy krajów zachodnich zmierzał do poprawy położenia klasy robotniczej przez rozwój ruchu spółdzielczego. Rychło jednak okazało się, że łatwiejsze jest przejmowanie i rozwijanie istniejących instytucji państwowych. Socjaldemokracja w krajach takich jak Szwecja stoi dziś przede wszystkim na straży interesów ludzi uposażonych ze środków publicznych. Co więcej, od kilku lat obserwuje się interesującą zmianę politycznej orientacji pewnej części robotników przemysłu prywatnego. Robotnicy ci są niezadowoleni z nadmiernej presji podatkowej /chodzi zarówno o podatki od wynagrodzeń, jak i obciążenia podatkowe przedsiębiorców, które coraz częściej stają się przyczyną bankructwa przedsiębiorstw i utraty pracy przez robotników/. Robotnicy przemysłowi /szczególnie młodszy wiekiem/ coraz częściej odczuwają wspólnotę interesów raczej z przedsiębiorcami aniżeli z socjaldemokratycznym ruchem politycznym. Zdaniem Zetterberga to, co niegdyś było walką klas, przerodziło się w konflikt interesów między dwoma sektorami ekonomicznymi - prywatnym i publicznym, a uposażona ze środków publicznych większość bronie będzie swoich przywilejów.

Na czym polega różnica między tymi dwoma sektorami? Jakże znaczenie ma fakt, że jest się opłacanym przez państwo, a nie przez prywatnego przedsiębiorcę? Zacznijmy od tego, że Szwecja ma najniższe w Europie opozrocie. Zdawać by się mogło, że można to zapisać wyłącznie na plus socjaldemokracji. W rzeczywistości jednak bezrobocie jest znacznie wyższe niż to wynika ze statystyki, ponieważ bezrobotni kierowani są na naukę lub do prac zastępczych za państwowe pieniądze. Ukryte bezrobocie jest ponad dwukrotnie wyższe od oficjalnego. Nie w tym rzecz, że władze podejmują działania mające na celu zneutralizowanie skutków bezrobocia, ale że używają tych działań dla ukrycia faktycznych rozmiarów problemu. Jeszcze większym problemem jest przerost zatrudnienia w sektorze publicznym. Znaczna część sektora publicznego to biurokracja, która łączy część swojego czasu pracy poświęca na stwarzanie a nie zajęcia. Brak kontrolnych mechanizmów ekonomicznych powoduje również nieracjonalność zatrudnienia w instytucjach oświaty, opieki społecznej i służby zdrowia. W sektorze publicznym nie działa rachunek ekonomiczny. Podczas gdy sektor prywatny nastawiony jest na zaspokajanie potrzeb innych, sektor publiczny tworzy człowieka o mentalności biurokratycznej, zorientowanego na to, żeby dobrze wypaść w oczach przełożonych i rozszerzyć swoją władzę, mierzoną zazwyczaj w ilości podwładnych.

Polskiemu czytelnikowi może się to wydać dziwnie znajome. Istotnie, mamy tu do czynienia z dobrze nam znanym zjawiskiem. Jednak w kraju takim jak Szwecja, który dotychczas znakomicie prosperował i nadal należy do najbogatszych krajów świata, konsekwencje tego zjawiska nie są na razie tak dramatyczne. Jak jednak widac z przytoczonych wcześniej danych, zmiany strukturalne szły już tak daleko, iż wyłania się pytanie czy możliwe jest odwrócenie tej tendencji. Ujemne cechy państwa opiekuńczego ujawniły się we wszystkich państwach zachodnich. Spowodowało to zmianę zachowań wyborczych i działania na rzecz zmniejszenia wtórnie dzielonej części dochodu narodowego. Rządy konserwatywne w krajach takich jak Wielka Brytania, Niemcy Zachodnie czy Norwegia, nie zdołały również przywró-

cić wielkiej koniunktury lat sześćdziesiątych. Można się zastanawiać, czy było to w ich mocy? Nadmierny rozwój państwa opiekuńczego i przekroczenie granic racjonalności socjaldemokratycznych reform to tylko jedna z przyczyn współczesnych problemów gospodarczych i politycznych krajów zachodnich. Dwie inne przyczyny to postęp techniczny i automatyzacja pracy oraz kryzys międzynarodowego handlu. Zmiany w technice wytwarzania powodują głębokie zmiany strukturalne w strukturze produkcji przemysłowej. Produkcja materialna wiąże coraz mniejszą ilość pracujących. W średnio-wiecznym społeczeństwie rolniczym około 90% ludności zajmowało się wytwarzaniem żywności; dziś w krajach najbardziej rozwiniętych liczba bezpośrednich producentów żywności wynosi 2-5% ogółu pracujących. Przed ponad 100 lat trwał proces szybkiego przemianowania się siły roboczej z rolnictwa do przemysłu. Od kilku dziesięcioleci obserwujemy nową tendencję - wyłania się społeczeństwo postindustrialne, w którym potrzeby materialne zaspokajane są przez mniejszość, podczas gdy większość pracujących zatrudniona jest w sektorze usług /handel, oświata, opieka zdrowotna, opieka nad dziećmi i starcami, urzędy/, a równocześnie coraz większa część społeczeństwa znajduje się poza rynkiem pracy /przedłużony cykl nauki, rosnąca liczba emerytów i rencistów, wzrastające bezrobocie/. Wynik

walki o władzę, w pierwszej fazie kształtowania się tego nowego społeczeństwa zadecyduje o formach politycznego ustroju w tych społeczeństwach. W przypadku zwycięstwa socjaldemokracji możemy być świadkami przekształcenia się demokratycznego państwa w społeczeństwo biurokratyczne, gdzie państwo jest największym pracodawcą, gdzie coraz więcej decyzji ekonomicznych podejmuje aparat polityczny, a państwo zmierza do zagwarantowania wszystkim obywatelom ekonomicznego bezpieczeństwa, pozabawiając ich jednocześnie tradycyjnych swobód obywatelskich. Alternatywą takiego rozwoju jest regres państwa opiekuńczego i stopniowa reprivatyzacja niektórych dziedzin życia, objętych dziś przez sektor publiczny. W tym kierunku od kilku lat zmierza polityka prezydenta Reagana oraz brytyjskich konserwatystów. Wyniki wyborów w Szwecji mogą mieć pewien wpływ na wybory w innych państwach Europy Zachodniej. Prasa i system oświaty w Europie Zachodniej zdominowane są przez sympatyków socjaldemokracji, czasem cynicznych, częściej przywiązanych do tradycyjnych wartości tego ruchu i nie zauważających przemian, które dokonały się na przestrzeni ostatnich lat. Głosy tej prasy wspierają będą opcje na chwilowe bezpieczeństwo w zamian za rezygnację z wolności. W szranki o dusze wywroców stają dziś masy dworskich filozofów, którzy zrobili kariery na głoszeniu teorii równości. Gęsto padają argumenty, że niemoralne jest czerpanie zysków z opieki nad dziećmi, chorymi czy starcami. Nie jest to wcale takie proste ani jednoznaczne. Równie dobrze można powiedzieć, że niemoralne jest sprzedawanie chleba. Oparta o zasadę zysku wymiana towarów i usług przyniosła w efekcie najbardziej sprawny system społeczny podziału pracy. Zachodni ruch robotniczy wywnioskował się jako ruch protestu przeciw bezwzględnej władzy pieniądza, która stanowiła nie tylko nadużycie zasady wolnego handlu, ale była również wewnętrznym ograniczeniem kapitalistycznego sposobu produkcji. Oparta o teorię społecznej sprawiedliwości kontrola prywatnego kapitału osiągnęła i przekroczyła pułap racjonalności. Wyłaniające się społeczeństwo postindustrialne rozdzierają nowe konflikty, z których wyłoni się ekonomiczno-polityczna formuła tego społeczeństwa. Te nowe konflikty na arenie politycznej wystupują w starych, historycznych już kostiumach. Warto jednak zdjąć sprawę z faktu, że ruch socjaldemokratyczny na Zachodzie nie jest już ruchem rewolucyjnym, a neoliberalizm ekonomiczny nie jest prostym powtórzeniem idei zwolenników czystego kapitalizmu. Współczesne społeczeństwa zachodnie poszukują możliwości zachowania demokracji i gospodarczej racjonalności w sytuacji, w której zaspokajanie potrzeb materialnych spoczywa na niemożliwości, zmienia się struktura i pojęcie rynku, wywnioskował się nowy społeczny podział pracy. redstawowym pytaniem tego nowego społeczeństwa jest pytanie, czy nowy społeczny podział pracy organizowany będzie przez biurokratów-planistów czy przez rynek towarów i usług? Czy tworzyć będzie człowieka organizacji, zorientowanego na gry biurokratyczne, czy człowieka rynku, zorientowanego na zaspokajanie potrzeb innych?

Pytanie o ustrój społeczeństwa postindustrialnego prowadzi również do pytania, czy historia demokracji parlamentarnej okaże się krótkim epizodem w dziejach ludzkości, czy też to nowe społeczeństwo znajdzie formę, pozwalającą na przetrwanie demokracji w nowych warunkach? Zmagania oboje mają doniosłe znaczenie nie tylko dla tych społeczeństw, ale również dla społeczeństw znajdujących się jeszcze na innym etapie rozwoju.

Andrzej KORASZEWSKI

/Przytaczamy za Kulturą, Paryż - październik - 1985/

BOLESŁAW BYSTRON

PANOWIE, ROZWIĄZCIE SIĘ!

Wzywam Panów, szanowni członkowie tzw. Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa: rozwiążcie się!

Na początek możliwość formalna. Blaczego? Bo ludzie zagrożeni w prestiżu zawsze wynajdują kruczki formalne by odeprzeć doora radę. formalnie - macie prawo, aby się rozwiązać. Kto Was ustanowił? Wy sami...

Dlaczego nie zostało to przez Was zauważone? A jak to było na początku? Zostaliście więc zaproszeni przez Obywatela Przewodniczącego Rady Państwa PRL, aby zasta nowić się nad możliwością utworzenia Rady Konsultacyjnej. Nad możliwością?! W którymś momencie - tacy tylko zaproszeni - stwierdzili, że to oni od teraz są tą Radą. Cokolwiek by mówić o kulisach, tak to się stało w teatrze propagandy. Nie opowiadajcie, że Was mianowali albo Was wyrzucali.

W tej formie ustanowienia się Rady Konsultacyjnej tkwi czyjs złowrogi żart, z którego nie zdają sobie

Panowie sprawy. To wy powiedzieliście: A! Rozumiecie?

Just ten Wasz pierwszy krak miał być jakimś haniebnym pobawianiem się mimo wszystko. Niby wychodzi na to, że nikt Was nawet tak bardzo nie ciągnął. Totalnie spodzielwane są - tak, tak - dalsze Wasze kroki. Jak A, to i B. Tu tkwi psychologiczna pułapka: zaangażowana została duma, pycha, delikatność, wrażliwość, wstyd, by konsekwentnie brnąć w dalsze litery alfabetu współpracy.

I czegoś to nie wymyślił człowiek, żeby racjonalizować, że on się nie pchał, ale go tak bardzo chcieli?! Totalnie zaczęliście wymyślać. Porzucicie te racjonalizacje uległości wobec przemocy subtelnej, ale obecnej. Rozwiążcie się w porę, bo Wy, założyście - macie do tego prawo.

A teraz meritum. Nie - narodowe. Bądźcie spokojni. Panowie, kto dziś pomyśli w tej sytuacji o narodzie jako wartości, której trzeba spontanicznie i altruistycznie nie służyc! Zamieniliśmy to wyobrażenie na sferomawne substytuty: "opinia publiczna" albo "grupy nacisku". Totalnie wymodlą u Was rumienica wstydu, płacząc, że odbieracie narodowi ducha, że w dół gdzieś leżą nasze serca. Pytam raczej: czy nie boicie się, że nie wytłumaczycie się przed siłą społeczną w niedalekiej, bardzo nawet bliskiej przyszłości? Kto uwierzy, że było w tej Radzie kiedykolwiek jakiegoś votum separatum? Kto uwierzy, że mieliscie obradować o czymś, ale do tematu jakos nie doszło? Albo że doszło, ale nic nie wyszło? Albo że zapomniano i tylko dlatego ten temat nie został w ogóle zaplanowany? Totalnie meritum to Wasze bespieczeństwo: bezpieczeństwo posiadania twarzy. I każdej innej części.

Trudno to wytłumaczyć w liczbie mnogiej. W dzień chadzamy stadem, ale w nocy, kiedy to piszę, każdy z nas spi osobno. Totalnie zwrócę się do każdego osobno: Proszę Pana. Uto tok mojej perawazji do Pana, członka Rady Konsultacyjnej. Jest Pan człowiekiem prestiżu, człowiekiem kulturalnym i ambitnym. Niech Pan posłucha tego, co ja sam wysłuchałem od nie żyjącego już Wielkiego Uczonego, który obserwował w latach 70-tych tzw. doradców, różne ich sespoły, ciała.

Ale mottem dla tych uwag niech będą słowa, jakie wy mknęły się innemu eszkolowowi, który przerastał Pana z pewnością ambicjami i mianowaniem o sobie. Myślę o Osobie Obywatela Przewodniczącego Rady Państwa PRL, który poddawany wieloletniej presji nerwicy sytuacyjnej osobnika ponizanego, nie słuchanego lecz smuszającego. To on powiedział tak: z Rady Konsultacyjnej można wyjść. do Rady można też wejść.

A teraz dopiero straszczą Panu obiecywane refleksje Mądrego Polaka. Oceniał on glerkowskich doradców, którzy uchodzili za odważnych. Nie tyle zaobserwował w nich odwagę, co inne ciekawe zjawiska. Otóż któregoś dnia do doradcy powinien przyjść list z zaproszeniem na naradę - a nie przyszedł. - Pojmuje Pan? - śmiać się do mnie wielki Uczony - czy Pan może ocenić tę otchłan niepokoju i rozczarowania, kiedy moi koleżdy doradcy dowiadawali się jednocześnie, że ci inni: gorsi, posłuszni, mniej zdolni dostali te listy, poszli, doradzali.

Koczczarowanie? Miłosny zawód? Tak. To jasne dla studenta psychologii: inwestycja emocji i ambicji domaga się symetrycznej przynajmniej satysfakcji. To silny determinizm psychiczny, a nie żadne deklarowanie, że się będzie chłodnym i twardym jak kamień. - A wie Pan, jak oni ten żal zdradzonego kochanka racjonalizowali? - pokpiwał dalej Wielki Uczony - Kówił mi: "przecież tyś dobrego mógłbym tam zrobić"... Byli autentycznie upokorzeni.

Pytałem Wielkiego swojego Profesora, co dalej działo się z doradcami zignorowanymi?

- Po jakimś czasie dowiadywałem się od osób trzecich, że znów są incydentalnie zapraszani. Ale w ich rozmowach ze mną zniknął bezpowrotnie temat naprawy społecznej. Ci pomijani, a potem znów dopuszczani do przywileju doradzania, stali się wobec siebie wzajemnie nieufni. Jeden z nich powiedział mi kiedyś zbyt szczerze o tym drugim, który znowu popadł, z władz przy czym, w niezaskę: "no, ja jego błędów nie popełnię, nie ma głupich".

Otóż to, drogi Panie. Z rad starego człowieka wynika, że w koncu doradcy doświadczeni tak srodze na swym honorze, wyprodukowali kryterium własnego błędnego postępowania. Błędem było, oczywiście, mówienie prawdy, bo za takie mówienie doświadczali restrykcji nieobecności w radzie, a nieobecność w radzie prowadziła do katastrofy marnotrawstwa ich osobistego talentu doradczania.

- Stąd prawdą stała się szybko wcale nieprawda, podobliwie gawędził ze mną Głęboki Umysł - prawdą była sama obecność wśród radzących.

Wtedy, kiedy słuchałem myśli swego Wykładowcy, byłem tak samo naiwny i nieufny jak Pan dzisiaj. I zapytałem Mądrego Polaka:

- Panie Profesorze, przecież wzór na konformizm, który Pan Profesor podaje, jest tak prosty i obiektywny, że każdy może uniknąć brnięcia w... - Otóż, nia żyłem ścisły - krzyknął ten Skromny Badacz

- nie uwiedomiłem Panu, że ten wzór obiektywny w konkretnym działaniu poszczególnej osobowości dzieli się przez sekretny współczynnik subiektywny, właściwy dla każdego z konformizujących się: jest to głęboko zakorzenione nastawienie zupełnie irracjonalne pt. "A mnie się uda, a ja ich wszystkich...". Nie muszę dodawać, że im współczynnik ten jest wyższy, tym klęska moralna bardziej zupełna!

Byłem wtedy ambitnym adiunktem, więc odkrzyknąłem nietaktownie i nieco gróboskórnie w stronę mojego Autorytetu:

- No, tośmy się dowiedzieli, dlaczego nasz największy Autorytet Naukowy nie ma odwagi doradzać!
- Jest to nie tylko kwestia braku chęci. Powody są metodologiczne. I ja kiedyś zostałem poproszony do Góry, żeby się samemu ustanowił w zespole doradców. Na wstępie, oczywiście, doradzałem. I to bardzo konkretnie. Oprócz mnie doradzało jeszcze kilkanaście osób. Kiedy Ojciec Ojczyzny wstał i podziękował za rady, usłyszałem z jego ust spokojne stwierdzenie, które poraziło mnie metodologicznie. Usłyszałem, że po tej naradzie Ojciec Ojczyzny zastanowi się i postara się z każdej z porad wziąć coś pożytecznego. Przy pożegnaniu konwencjonalnym zachowałem się niekonwencjonalnie, i poprosiłem żeby mnie nie zapraszano, ponieważ nie mogę uczestniczyć w takiej fikcji programowania.

Pamiętam, kiedy Wielki Starzec to mówił, zaświtał mi pomysł napisania pracy metodologicznej udostępniającej cały łańcuch wnioskowania mojego Mistrza, które doprowadziło Go do głosnej odmowy współpracy z władzami PRL. Ta napisana praca stała się później, po śmierci Promotora, podstawą mojej habilitacji.

Chciałbym Pana przekonać, że mój list otwarty do Pana opiera się nie na fundamentach moich społecznych i moralnych poglądów, ale na dowodach naukowych dotyczących bezowocności Pana pobytu w Radzie Konsultacyjnej.

- Panowie, ja nie wiem poglądów! - żają nas nieraz na seminarjach doktoranckich Wielki Zmarły. - Panowie, ja mam dowody!

I to prawie wszystko, Drogi Panie. Tą resztą jest przyszłość.

Bolesław Bystróż

FAUSTYN PIOTROWSKI

BAWCIE SIĘ, PANOWIE

Rada Konsultacyjna przy przewodniczącym Rady Państwa? Już pierwszy rzut oka na nazwę tego organu pobudza myśl, że jest w niej /tej nazwie/ zapisana pewna determinacja autorów /tej nazwy/. Otóż "konsultacja" to tyle, co udzielanie bądź zasięganie rad, czyli - rada, porada. Stosownie do tego znaczenie ma przymiotnik "konsultacyjny". Zatem Rada Konsultacyjna oznacza ni mniej ni więcej tylko radę, która ma... radzić. Masło maślane, ludowa demokracja. Ale na tym nie koniec: owa rada do radzenia będzie radzić przewodniczącemu i nej rady jeszcze. Można przeto sądzić, że nasza Rada konsultacyjna ma być samą kwintesencją rady, jej destylatem; powiedzmy to wprost: ma być czystą formą. I to jest owa zaszyfrowana intencja właśnie: przeniesie konkretnych ludzi i ich aspiracje w sferę abstrakcji, zmienić po prostu status ontyczny ich i spraw, którymi żyją lub które reprezentują. Ale nasz iluzjonista od retoryki przez to zabawne spleźnienie słów osiąga jeszcze inny /uboczny?/ efekt: filiterne zmrużenie oka. I myślę, iż to wrażenie powinno być miarodajne! Nie traktujemy zbyt serio całej tej afery, bo nie będzie ona ani żadnym kamieniem milowym, ani tym bardziej przełożeniem w politycznym losie kraju. Nie będzie ani zwycięstwem, ani klęską - niczego ani niczyją. Ot, po prostu jeszcze jeden klub polityczny jakich wiele na świecie. Kluby takie - podobnie, jak cudownie jakowe kongresy, fora i sympozja /nie licząc papulistycznej ich odmiany - kursokonferencji/ - spełniają wszakże wielce pocziwającą funkcję łagodzenia naczupurzonych nastrojów. Chwała im za to! Jednym z elementów kultury politycznej jest dystans i tolerancja. Najeżony prozelityzm w polityce do niczego dobrego nie prowadzi, jakkolwiek może być przejawem bardzo osobistego i serdecznego przeżywania wydarzeń zbiorowych, a to jest przecież bardzo cenne, wręcz podstawowe dla wszelkiej aktywności społecznej. Same emocje nie powinny być treścią polityki ani wyznaczać politycznych kryteriów. To jest specjalnie ważne akurat w obecnym położeniu Polski.

Władze PRL z rozbrajającą szczerością głoszą wazem i wóbec o ruinie gospodarczej, ekologicznej i psychologicznej kraju, same natomiast mają się dobrze. Jest to swoista legitymizacja tych władz: zabsolutyzowana konieczność historyczna, której nie są w stanie podważyć żadne, bodaj najbardziej kompromitujące, okoliczności, w tym także, choćby najbardziej nieprzejednana wrogość społeczeństwa. Ale propaganda klęski niesie również inne, już nie socjotechniczne, przesłanie; rekwiem dla ideologii. Skończył się sen, zaczyna się golenie. Nie jest to zjawisko ani typowo polskie, ani charakterystyczne

tyczne tylko dla komunizmu. Ogarnia zarówno zblazowany Zachód, jak i zniechęcony Wschód. Totalna klapa prometejskich iluzji.

Nie mamy prawdopodobnie do czynienia z końcem ideologii w ogóle, lecz z upadkiem jednych i narodzinami następných ideologii. Ale póki co, czeka nas chwila wytchnienia - takie bezideologiczne interludium. W świecie komunizmu obserwuje się już to zjawiska kompromitujące ideologię, już to przejawy samej "dezideologizacji". Jugosłowianie tracą wiarę w samorzadność, fundament ich komunizmu, a dostrzegają tylko jeden czynnik zachowania integralności państwa - armię. W Polsce 13 grudnia 1981 r. był nokautem dla Solidarności i śmiertelnym ciosem dla nie tylko polskiego marksizmu /nie należy jednak sądzić, że gdyby nie stan wojenny, kwitłaby Solidarność i partia/. Dla Związku Radzieckiego komunizm stał się kamieniem młyńskim u szczytu właśnie teraz, gdy Ameryka, Japonia, Chiny i Islam rzucają najbardziej dramatyczne w dziejach wyzwania cywilizacyjne i polityczne. Chiny po latach prosperity spowodowanego odejściem doktryny z rolnictwa zwracają się ku pragmatyzmowi. Korea Północna i Albania, fantomy ortodoksyjnego komunizmu, odstraszaają nawet najbardziej zagorzałych wyznawców Larksa.

Ale co z tego? Jaki to ma związek z Radą Konsultacyjną? Ano taki, że uświadomienie sobie procesu dezideologizacji powinno z kolei prowadzić do przesvědczenia, iż stanowi on szansę szybszego niż przypuszczamy odcedzenia z naszej i nie tylko naszej rzeczywistości zawiesziny komunistycznej. Szukanie przez władze autentycznych czy namiastkowych pól styku z innymi niż dyspozycyjne środowiskami nie jest tylko zwykłym manewrem taktycznym ani oczywiście przejawem jakiegos patriotycznego rozkliwienia, lecz - inicjatywą polityczną powziętą pod naporem okoliczności. Obraz tych okoliczności jest także skutkiem uporzeczywej walki opozycji, zwłaszcza w ostatnim dziesięciu lat. I tego nie wolno się nam wyrzekać, owszem: trzeba to umieć politycznie zdyskontować. Należy w pierwszym rzędzie podejmować wszelkie kroki, które przyspieszają rozkład ideologii. służy temu wiara w ewolucję i racjonalność, tolerancja oraz rozmiary i kultura kontaktów politycznych. /Można żywić przekonanie, iż w jakiejś mierze Rada Konsultacyjna powiększy pole kontaktów politycznych/. Natomiast ortodoksja, fanatyzm, izolacja - tak przeciwnika, jak i własne - doskonale konserwują dominację ideologii.

Jest wszakże coś, co niepokoi u schyłku epoki ideologii - to obawa przed tym nowym niewiadomym, które wżęknęli powstającą próżnią. Cokolwiek by to nie było, naszą reakcją obronną powinno być przeczorne skupienie myśli i działań na interesie narodowym, a więc na tej kategorii, która u Polaków - mimo tak bujnie rozwiniętego poczucia narodowego - tak mało znajduje zrozumienia /własnie: zrozumienia!/. Oceniając wszystkie zjawiska w gasnącym świetle konfrontacji ideologicznej, gubimy w pomroce obraz całej złożoności naszej sytuacji, a w tym także tracimy z pola widzenia - i to jest szczególnie groźne - właśnie interes narodowy.

Moja propozycja jest taka: pozwólmy Radzie Konsultacyjnej zmagać się z własnym "nomen omen", pozwólmy komunizmowi obumierać w spokoju, a sami zajmijmy się sprawami ciekawszymi.

Faustyn Piotrowski

INNY SOŁŻENICYN Rozmowa z Andriejem Siniawskim

Andriej Siniawski urodził się w 1925 r. w Moskwie w rodzinie urzędniczej, ukończył Wydział Filologiczny Uniwersytetu Moskiewskiego, następnie pracował w Instytucie Światowej Literatury Akademii Nauk ZSRR, od 1955 zaczął pisać i publikować na Zachodzie pod pseudonimem Abraham Terc, aresztowany w 1965 r. został skazany na 7 lat kagru, zwolniony z obozu w 1971 r., w 1973 r. wyemigrował do Francji, gdzie pracuje jako wykładowca na Sorbonie, jednocześnie zajmuje się pracą literacką, za najważniejszą uważa ostatnio ukończoną powieść pt. "Dobry noc".

Liber tas: W nocie redakcyjnej do 12-go numeru "Syntaksis" możemy przeczytać: "Syntaksis został pomysłany jako pismo bezpartyjne i niezależne od okrzyku "woda", potęgi pieniądza i "prawdy" w ostatniej instancji. Przekazujemy opinii publicznej nie bezsporne sprawy i idee lecz nierzadko właśnie te dyskusyjne, które bardzo często "nie przechodzą" w innych czasopiśmiech z przyczyn niezależnych od jakości materiału. Idei jedynej, autorytarnej "prawdy" przechowywanej w kieszeni wielkich szefów, przeciwstawiamy w pierwszej kolejności pytanie na ile przysłany do nas artykuł jest interesujący, świeży, oryginalny, na ile sprzyja różnorodności poglądów i stylów - na ile przyczynia się do roz

woju niezależnej myśli i twórczości we współczesnej Rosji". A więc walczy Pan w swoim piśmie także z cenzurą rosyjskiej emigracji?

A.: **Andriej Siniawski**: Oczywiście, jest ona tu dość silna.

Maria Rozanowa: Przepraszam, ale czasopismo wydaje nie Siniawski tylko ja, mąż natomiast współpracuje z "Syntaksisem".

A.S.: W ostatnim numerze wycofałem nawet swoje nazwisko jako wydawcy.

L.: A zatem "Syntaksis" redaguje Pana żona, Maria Rozanowa?

A.S.: Tak, choć biorę aktywny udział w jego przygotowaniu jako autor.

L.: Jaka sytuacja zmusiła Pana do pisania w czasopiśmie niezależnym od emigracji?

A.S.: W rosyjskiej emigracji doszło, mówiąc umownie, do podziału na dwa skrzydła: liberalno-demokratyczne, do którego należą i autorytarno-nacjonalistyczne, którego najwybitniejszą postacią jest A. Sołżenicyn. Między nimi na emigracji większą siłą dysponuje drugie ugrupowanie. Składa się na to szereg przyczyn. Po pierwsze ruch ten podtrzymuje taka osobistość jak A. Sołżenicyn. Pamiętajmy też, że stara emigracja lub jej dzieci bardziej skłonne są do nacjonalizmu, a także monarchizmu. Czynniki amerykańskie i ich pomoc również są po stronie nacjonalistów, gdyż uważają ich za realną siłę. Ponadto czas gdy demokraci nie mają poważniejszego znaczenia.

L.: Czy Pana zdaniem Amerykanie uważają, że autorytaryści obejmą władzę po komunistach i dlatego warto ich popierać?

A.S.: Tak, oni mają nadzieję, że tak będzie. Myślę, że jest to polityka nieskusna, ale bardzo trudno byłoby to udowodnić.

L.: A zatem większa część rosyjskiej prasy na emigracji poddana jest cenzurze kierunku autorytarno-nacjonalistycznego?

A.S.: Oczywiście.

M.R.: Wielu rzeczy w prasie emigracyjnej po prostu nie można wydrukować, np. teraz ukazało się kilka ostatnich prac Sołżenicyna i w prasie emigracyjnej wolno je tylko chwalić, niemożliwe jest wystąpienie z jakiegokolwiek krytyką. "Ruszkaja Myśl" nigdy nie wydrukowała żaby takiej krytyki. Jest to wariant z góry wykluczony.

A.S.: W pełni dopuszczam możliwość, a nawet myślę, że w najbliższych czasach nie jest sądzone Rosji stać się demokratycznym państwem. Mimo to uważam jednak, że również w tej sytuacji inteligent rosyjski powinien być zwolennikiem wolności i demokracji, nawet jeśli położenie jest beznadziejne, zamiast wymyślać nowy rodzaj despotyzmu na zastąpienie poprzedniego.

L.: Czy przedstawiciele drugiego skrzydła emigracji rosyjskiej są po prostu przeciwnikami demokracji?

A.S.: Oni tak wprost tego nie formułują. Istnieją różne odmiany nacjonalistów od skrajnych, reprezentowanych przez monarchistyczne "Wleczki", którzy zamiast słowa demokracja piszą: "gównokracja" - do bardziej umiarkowanych, którzy twierdzą, że Rosja do demokracji jeszcze nie dojrzała. Za najgorszy moment w historii uważają luty 1917 r. i nawołują, byśmy nie powtarzali rewolucji, jakbyśmy mogli cokolwiek powtarzać lub nie; przecież sytuacja jest dziś inna niż w lutym siedemnastego. Także w samej Rosji wzrastają obecnie nastroje nacjonalistyczne. Czasami łączą się one z partyjną ideologią, czasami rozmiągają się z nią, ale nabierają siły, gdyż marksizm skonczył się jako ideologia. Teraz szuka się na zmianę czegoś innego, a idee nacjonalistyczne są proste, dostępne dla szerokiego mas i mogą jednocześnie prostego robotnika nawet z ministrem. Dlatego nacjonalizm rośnie.

L.: Rozumiem dlaczego komuniści próbują posługiwać się nacjonalizmem, ale dlaczego te same tendencje są tak popularne wśród emigracji i ludności rosyjskiej ZSRR?

A.S.: W związku sowieckim jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą. Kiedy ludzie żyją źle i nie mają wolności, pocieszają się: "Ale za to jesteśmy wielkim narodem, wielkim krajem. Cały świat boi się nas! No i jest pieknie! Takie psychologiczne wyjście. A emigracja? Już stara emigracja była usposobiona w podobnym duchu, a nowa jest słabsza od tamtej. Po drugie, nowej emigracji kierunek postępowania wytyczył A. Sołżenicyn i jego zwolennicy. Jest to dość duży ruch. Twierdzą oni, że w Rosji rozpoczęło się narodowo-religijne odrodzenie. Osobiscie nie widzę religijnego odrodzenia, a tylko wzrost nacjonalizmu. Pewne ożywienie religijne występuje wśród inteligencji, ale nie można tego nazwać odrodzeniem. Większość ludności pozostaje niestety ateistyczna lub obojętna dla tej problematyki. A tu tworzy się nowy mit: Rosja - kraj noszący w sobie Boga, co oznacza, że wszystko w niej było wspaniałe. Ludzi mówiących, iż w przeszłości Rosji było wiele poważnych wad, Sołżenicyn nazwał rusofobami, a w swym ostatnim, bardzo pryncypialnym wystąpieniu pt. "Nasi pluraliści", połączył ich tą jedną cechą. Kim bowiem są wedle niego owi pluraliści? To wrogowie Rosji, ludzie nienawidzący jej, którzy marzą o zniszczeniu narodu rosyjskiego itp. Oczywiście znalazłom się wśród pluralistów, a teraz nadarzyła się jeszcze ku temu sposobność, gdyż ja...

mieliłem się wystąpić przeciwko wspomnianemu artykule wi Sołżenicyna. Dlatego stosunki w emigracji są dość ostre.

L.: Czy nie jest tak, że w wypadku wolnych wyborów z powodu niskiej świadomości politycznej społeczeństwa i tak zwyciężyłyby partie nacjonalistyczne i populistyczne, które wszystkim wszystkim obiecują nie dbając o spełnienie przyrzeczeń. Może więc zwolennicy drugiego kierunku uważają, że natychmiastowe wprowadzenie demokracji po totalitaryzmie jest nie/realne, a system autorytarny jest przecież lepszy od totalitarnego?

A.S.: Oni tak uważają, ale to stanowisko jest dla mnie całkowicie nie do przyjęcia, nie dlatego, abym sądził, iż jutro w Rosji będzie demokracja, ale dlatego, że moim zdaniem, nawet w beznadziejnej sytuacji rosyjski inteligent powinien być zwolennikiem wolności. Nie znaczy to rzecz jasna, że będę mówił: "Dajcie wybory - to zbudujemy...", to jest śmieszne podejście. Ale mnie martwią problemy rosyjskiej kultury, a bez różnorodności idei, bez dopuszczania do głosu różnych punktów widzenia, niemożliwy jest wcale lub w bardzo ograniczonym stopniu rozwój kultury rosyjskiej. Dlatego bez względu na to, czy demokracja w Rosji ma przed sobą przyszłość czy nie, jestem jej zwolennikiem.

L.: Ale być może oni myślą, że skoro rewolucja nie jest możliwa, gdyż społeczeństwo jest za słabe, a ze względu na rozbieżne więzi społecznych można nawet powiedzieć, iż nie istnieje, nie widąc też, by w niedalekiej przyszłości miały nastąpić jakieś pozytywne zmiany, jakiegokolwiek reformy można przeprowadzać wyjącznie od góry. I tu tkwi przyczyna stworzenia teorii o "rosyjskiej lub wojskowej partii", czyli o skoncentrowaniu się najlepszych warstw rosyjskiego aparatu władzy właśnie w armii?

A.S.: Ależ tak. To właśnie jeden z wielu spornych punktów między nami. Na przykład NTS uważa, że skoro sytuacja jest beznadziejna, a wiadomo, kto może coś zrobić - armia, trzeba więc pobudzać armię. Ale czy dlatego, że sytuacja jest beznadziejna mam odwrócić KGB lub podpuszczać armię? Jest ona w Rosji bardzo reakcyjna. Uważam, że rozpalaniem idei nacjonalistycznych w Rosji nie pomoże się sprawie, lecz na odwrót, zaszkodzi. Nacjonalizm nie jest siłą, która uzdrowi Rosję, lecz stanowi potęgę niszczącą, ekspansjonistyczną.

Nacjonalizm w ogóle nie lubię, choć do nacjonalizmu małych narodów odnoszę się z wyrozumiałością. Kiedy byłem w żagrze, że stosunki miałem tylko z nacjonalistami rosyjskimi, ponieważ nie uznawałem idei wielkiej, niepodzielnej Rosji i lekceważącego odnoszenia się do innych narodów.

Kiedy przyjeżdża się do obozu, wychodzą na spotkanie nowego więźnia przedstawiciele różnych grup i pytają: "Co myślisz, jak odnosisz się do kwestii naszego oddzielenia się?" A ja im na to: "Oddzielajcie się!" Mnie martwią problemy rosyjskiej kultury, a nie wielkiej rosyjskiej państwowości. Doświadczenie zaś wykazuje, że im silniejsze jest rosyjskie państwo, tym gorzej dla rosyjskiej kultury. Jeśli los imperium mnie martwi, to w odwrotnym kierunku. Jestem zwolennikiem jego osłabienia, a jeśli to możliwe - rozpadu.

L.: Pana zdaniem rozpalanie nacjonalizmu nie da w konsekwencji zmiany władzy aparatu na rządy armii.

A.S.: Może i da, ale nie sądzę, by władza armii była dobroczynna, przecież nawet polska armia okazała się gorsza.

L.: Ale władza armii i rozpad aparatu partyjnego, to nowa jakość.

A.S.: Tak, nowa ale nie mogę w żaden sposób sympatyzować z tym zjawiskiem. Byłem trzy lata w wojsku, wiem czym jest "Sowieckaja Armia" - to mało sympatyczny ludźmi...

L.: Cóż powinniśmy robić w takim razie?

A.S.: Przede wszystkim należy apelować do inteligencji, gdyż masy ludowe znajdują się w pewnym zastoju. Stawiam nie na armię lecz właśnie na inteligencję, która w rosyjskiej historii poza wypadkami ekstremizmu, reprezentowała sobą element jakiegoś twórczego niespokoju. To przecież inteligencja wymyśliła owoch dysydentów, ruch obrony praw człowieka i inne formy sprzeciwu wobec władzy, a poza tym z nią właśnie związane jest rozwój kultury i dlatego stawiam na tę warstwę, choć rozumiem, że to mniejszość, mała część społeczeństwa i nie może dokonać niczego realnego.

L.: Uważa Pan inteligencję rosyjską za potencjalną siłę, która kiedyś odegra swoją historyczną rolę i dla tego trzeba ją na ten moment przygotować.

A.S.: Z pewnością kiedyś odegra ją, a oprócz tego ja nie ograniczam owej roli do zadań politycznych, lecz przyjmuję nawet gorszy wariant, zgodnie z którym Rosja nigdy nie będzie wolna, ale kultura mimo wszystko musi jakos istnieć, a bez ducha wolności jest to niemożliwe.

L.: Czy to znaczy, że w ZSRR nie ma kultury rosyjskiej, skoro przecież brak tam wolności?

A.S.: Oczywiście istnieje ona w różnych formach: czasami pojawia się coś interesującego w ramach oficjalnych, czasami odrywa się od sfery oficjalnej i odcho-

dzi na emigrację bądź trwa w podziemiu, np. dla pisma "Syntaksis" otrzymujemy materiały z Rosji regularnie. Często ludzie, którzy jeszcze wczoraj uczestniczyli w kulturze oficjalnej, dziś znajdują się już na emigracji i tu tworzą.

L.: W Polsce inteligencja zorganizowała zaczątki wolnego ruchu związkowego, co później pozwoliło zmobilizować i zorganizować całe społeczeństwo. Zaczęto od hasiek ekonomicznych, a później pojawiły się polityczne

A.S.: Zgoda, ale w Polsce udało się stworzyć pewną określoną jedność między inteligencją i robotnikami. W Rosji tego po prostu nie ma.

L.: Ale czy to jest niemożliwe, czy też nikt jeszcze nie próbował?

A.S.: Sądzę, że w najbliższym czasie jest to niemożliwe, gdyż niestety klasa robotnicza w Rosji myśli o materialnej poprawie bytu, a problem wolności jej po prostu nie interesuje.

L.: To normalne zachowanie dla większości ludzi, w Polsce na początku też tak było.

A.S.: Ale mimo to w Polsce robotnicy gdzieś tam zrozumieli, że bez wolności myśli nie będzie chleba.

L.: Tak, lecz wszystko zaczęło się od przysławiowej kiełbasy.

A.S.: W Polsce istnieje wiele rzeczy, których brak jest w Rosji, np. określona jedność ludu i inteligencji, oparta na dużym poczuciu narodowym i narodowej jedności pozostającej w opozycji do władzy, a nie wiążącej się z nią jak w Rosji. Zupełnie inna jest rola Kościoła. Na jakie nie szedłby on kompromisy, pozostaje jednak z narodem i ma z nim wspólny język. Te trzy siły: robotnicy, inteligencja i Kościół, jeśli nawet nie połączą się, to prowadzą dialog, kontaktują się i współpracują. Niczego podobnego nie ma w Rosji.

L.: A zatem Pana zdaniem należałoby wybrać nie socjalny lub narodowy, ale wolnościowy wariant walki?

A.S.: Myślę, że wariant socjalny zaczyna się od wolności. Aby mówić o położeniu klasy robotniczej, o gospodarce itp., potrzebna jest też od początku wolność słowa.

M.R.: Kiedy rozmawiamy między sobą, czego chcielibyśmy dla naszej ojczyzny, często marzymy: "Żeby nas było choć tyłu co w Polsce". Polska stanowi dla nas już nieosiągalny ideał wolności. Rosyjski robotnik czy chłop zadowolony jest z ustroju, przyjmuje system za swój.

L.: Przecież to nie jest jego władza.

A.S.: Robotnicy są niezadowoleni, bo w sklepach nic nie ma. Ale, że taka jest władza...

M.R.: Po prostu nie wiążą owych braków z charakterem władzy, stoją bowiem na o wiele niższym poziomie politycznego myślenia.

A.S.: Ostatnio, wcale nie przypadkowo, pojawiły się wśród ludzi nastroje tęsknoty za Stalinem, pewien rodzaj odrodzenia jego kultu. Zdarzyło mi się rozmawiać z robotnikami na wolności i w obozie, gdzie przecież ludzie powinni być bardziej świadomi, i nawet tam spotykałem osoby pragnące, by Stalin powrócił. Dlaczego? Bo wówczas byłby wręcz porządek.

L.: Chyba porządek wsadzania do łagrów.

A.S.: Właśnie taką teorię rozwinęto. Za Stalina "nacjonalizm" bało się.

L.: Oczywiście, gdyż też było wsadzane.

A.S.: Właśnie. Teoria ta mówi, że "nacjonalizm" należy okresowo wsadzać i Stalin post. pował prawidłowo, gdyż co 10 lat rozstrzeliwał "nacjonalizm", dzięki czemu nast. poważa odnowa. Jeśli tak się nie stanie, to po 10 latach kierownictwo ulega "zeswołoczeniu".

L.: A zatem nie wolne wybory tylko rozstrzeliwanie jako metoda zmiany władzy.

A.S.: Tak, tak. W swojej powieści przedstawiłem autentyczną rozmowę, jaką miałem w łagrze z miłym, bezpartyjnym człowiekiem, który ostatecznie na mnie nie doniósł. Kiedy mu powiedziałem, że nie ma u nas wolności, że nie pozwalają np. publikować Achmatowej, odpowiedział, iż nie można tego zrobić, ponieważ jeśli zaczniemy drukować wszystko jak leci, to w Polsce powstanie niezależne dziennikarstwo.

- A niech powstanie - mówię mu.

- Ależ wówczas Polska oderwie się, przecież wiecie, jakie tam panują nastroje.

- Na to powiadam - a niech się oderwie.

- Cóż mówicie! Jeżeli Polska oderwie się, to odepną Węgry, Czechosłowacja, cała Europa wschodnia:

- A niech odepną - powtarzam swoje.

- No to wówczas odpadną kraje bałtyckie!

- To dobrze, że odpadną - ciągnę.

- Ale wtedy Ukraina...

- Proszę bardzo - powtarzam.

Wówczas spojrział na mnie i powiedział: z powodu waszej wolności chcecie rozwalić imperium.

- Tak, chcę.

W świadomości tego człowieka imperium rosyjskie stało się najwyższą wartością, ważniejszą niż kultura, która dla mnie jest droższa.

L.: Czy myśli Pan, że należy rozbić imperium, aby człowiek zrozumiał, jakie są jego prawdziwe interesy?

A.S.: Imperium rozwalić jest bardzo trudno. Dlatego odnoszę się w pełni lojalnie do wszystkich idei narodowych małych narodów żyjących w Związku Sowieckim i sympatyzuję z nimi.

L.: Czy popiera Pan dążenia do niepodległości wszystkich narodów, nawet małych, np. syberyjskich czy kaukaskich?

A.S.: Sympatyzuję z każdym pragnieniem wolności. Nie mogę powiedzieć komus, że powinien być w składzie Rosji, psychologicznie czułym się nieuczciwie, skoro bowiem ja chcę wolności, nie mogę zakazywać jej innym.

L.: Wróćmy jeszcze do rosyjskiej emigracji. Jakie są różnice między linią polityczną "Syntaksisu", a "Stroną i Mirem" K. Lubarckiego?

A.S.: Zasadniczy różnic nie ma. "Strona i Mir" stara się tylko nie poruszać bolesnych, wewnątrzemigracyjnych problemów. A my uważamy, że nie należy ich kryć, lecz trzeba je obnażać. Ale pod względem politycznym należymy do tego samego kierunku.

M.R.: Wiele naszych bied wzięto się stąd, że właściwe słowa nie zostały wypowiedziane we właściwym czasie i przyjęto formułę przemilczania. Dlatego wydaje się nam, że występowanie wyłącznie z pozytywnymi artykułami jest niemożliwe: brak krytyki zatrzyma ruch. Konformizm niczego nie osiągniemy. W czasach Stalina niektórzy ludzie trzymali się takiej logiki: jest socjalizm i są jakieś tam złe rzeczy, ale nie należy o nich głośno mówić, a najważniejsze to jedność, rzecz jasna jedność wokół Stalina. I teraz na emigracji znów mówi się o jedności.

L.: Jedności z kim?

A.S.: Oczywiście z Sołżenicynem, a jeśli ktoś chce krytykować, to znaczy, że nienawidzi narodu rosyjskiego i chce zniszczyć rosyjską kulturę, itp., itd. W prasie emigracyjnej nazywają mnie rusofobem - wiadomo - rusofob to Sinlowski, choć ja w żadnym stopniu nie jestem rusofobem i myślę, że kocham Rosję w nie mniejszym stopniu niż oni.

L.: mówią Pan, że jest słowianofilem, a przecież Sołżenicyn też odwołuje się do tej tradycji.

A.S.: Chciałem przez to powiedzieć, że jestem idealistą, a nie racjonalistą czy materialistą. Tradycja idealizmu w kulturze rosyjskiej jest zaś związana przede wszystkim ze słowianofilstwem. W swych najlepszych przejawach nigdy nie było ono poplecznikiem samodziarstwa.

L.: Jakie jest Pana zdaniem stanowisko "Kontynentu" w kwestii narodowej; przecież z jednej strony pismo to należy do nurtu sołżenicynowskiego, a z drugiej opublikowało swego czasu oświadczenie uznające prawo Ukrainy do niepodległości?

A.S.: Myślę, że "Kontynent" nie zajmuje wyraźnego stanowiska w tej kwestii. Oni są całkowicie za Sołżenicynem, bo to siła i władza, ale mogą sobie pozwolić na opublikowanie od czasu do czasu czegoś niesołżenicynowskiego. "Kontynent" nie ma wyraźnego programu politycznego.

L.: Co sądzi Pan o NTS-owskiej definicji narodu rosyjskiego, którego naród wielkorusyjski/właściwi Rosjanie/ jest tylko częścią? "Naród rosyjski stanowi niepowtarzalne w swej oryginalności zjawisko: jest to zwarta rodzina ludów i narodów, które historycznie zjednoczyły się i uswiadomiły sobie na przestrzeni wielowiekowego, wspólnego, historycznego losu wspólnotę interesów państwowych, kulturalnych i gospodarczych. Historia udowodniła zdolność do życia narodu rosyjskiego"

A.S.: To jest mit. Nie ma takiego narodu. U mnie podobne oświadczenia wzbudzają śmiech i oburzenie, gdyż nie należy przywiązywać do Rosji innych narodów.

M.R.: Przecież te narody nie zjednoczyły się z Rosją tylko zostały przyłączone przy pomocy rosyjskiego oręża. W swoim czasie Polska też była w taki sposób "zjednoczona" z Rosją.

A.S.: Mam tu przed sobą nowy wariant sowietyzmu, którego jestem zdecydowanym przeciwnikiem.

L.: wielu Rosjan twierdzi, iż w ZSRR nie ma rusyfikacji, a tylko sowietyzacja. Narody wynaradawiają się, lecz nie przyjmują kultury rosyjskiej.

A.S.: W Związku Sowieckim ma miejsce straszna rusyfikacja. W obozie rozmawiałem z pewnym mieszkańcem Pri bałtyki, a ponieważ byliśmy przyjaciółmi, powiedziałem mu, że przecież wszystkiemu winna jest władza sowiecka nie zaś sam Rosjanie. Wówczas usłyszałem, że przecież to nie władza sowiecka bezczęści groby tylko ludzie, którzy tu przyjechali.

L.: Ale są to ludzie wychowani przez władzę sowiecką.

A.S.: Trudno powiedzieć czym jest właściwie wychowanie. Bywało, że bez żadnej władzy sowieckiej naród rosyjski odnosił się z pogardą do innych narodów.

M.R.: Jeszcze przed władzą sowiecką dochodziło do ataków na Żydów, Ormian nazywano "solonymi Ormiaszkami" a o Ukrainie mówiono "Chochiandia". Na długo przedtem istniało to uczucie rosyjskiego człowieka, iż jest on największy i najważniejszy - wszyscy powinni go kochać.

L.: Wielu Rosjan twierdzi, że to właśnie naród rosyjski najbardziej ucierpiał od komunizmu.

A.S.: Nie zgadzam się z tym. Śmieszne jest liczyć się cierpieniami, jeśli wszyscy cierpieli. W obo-

zach naturalnie przebywają też rosyjscy narodowcy, ale jest to mała grupa. Czecheny czy Baitowie uciurpie li przez władzę sowiecką nie mniej niż Rosjanie, a były wypadki, że zginęła jedna trzecia, jeśli nie połowa danego narodu.

L.: Jak, Pana zdaniem, należy rozwiązać problem rosyjskiej ludności napływowej w innych republikach narodowych, skoro niebawem będzie ona stanowiła tam większość, a więc w wypadku wolnych wyborów ustanowi swoją władzę?

A.S.: Jest to tragedia i dlatego mam jestem zwolennikiem ruchów narodowych, walki o narodową kulturę i oddzielenia się od Rosji.

L.: Co Pan sądzi o nowym ugrupowaniu rosyjskiej emigracji pod nazwą "Międzynarodówka Oporu" i jej program?

M.R.: Kiedy rozmawiamy o Sołżenicynie, to mówimy o ideach. My się z nimi nie zgadzamy, ale u Sołżenicyna są jakieś idee. A międzynarodówka Oporu to bufonada... jeszcze jeden ze sposobów zdobycia pieniędzy.

L.: Od wielu lat trwa dyskusja nie tylko wśród emigracji rosyjskiej, do jakiego stopnia komunizm jest importem zachodnim czy zjawiskiem rodzimym. Zwolennicy Sołżenicyna przeciwstawiają się poglądom o glebie wyjątkowo korzystnej w Rosji dla zaoczczenia komunizmu.

A.S.: Oni uważają, że bolszewickiej rewolucji w Rosji dokonali nie Rosjanie tylko Żydzi, Polacy, Węgrzy, itp., a naród rosyjski był jedynie elementem cierpiącym. Sądzę, że w bolszewizmie doszło do połączenia pewnych idei komunistycznych, które przyszły z Zachodu, z tradycjami, które w dostatecznej mierze nagromadziły się w Rosji. Pamiętajmy, że uwłaszczenie chłopów ogłoszono dopiero w 1861 r., dodajmy do tego idee potęgi i wielkości, samodzierżawie oraz biurokracyzm. Zmieniły się jakieś osoby, ale instytucje pozostały, być może przybierając inną formę. Takich tradycji było bardzo dużo.

L.: Czy, Pana zdaniem, po 1905 r. była możliwa pokojowa ewolucja w Rosji od systemu autorytarnego do demokratycznego i gdyby nie wojna i rewolucja lutowa bolszewicy nigdy nie uchwyciliby władzy?

A.S.: Cała bieda w tym, że bez rewolucji 1905 r. car nie dałby żadnej Konstytucji, a teraz nacjonalisci mówią: "Proszę jak było dobrze, już była Konstytucja!" Była Konstytucja ale w rezultacie rewolucji, zdobyła siłą. Dalszego rozszerzenia wolności car nie pragnął. Oczywiście sytuacja mogłaby ewoluować, ale trudno coś teraz powiedzieć, wojna niewątpliwie była jedną z przyczyn zwycięstwa komunistów.

L.: Czy reformy Stołypina, gdyby zostały przeprowadzone do końca, nie stałyby się podstawą takiej ewolucji i przeszłości bolszewikom w zdobyciu władzy?

A.S.: Jest to tłumaczenie całkiem sztuczne, np. w okresie rewolucji znane były wypadki, że chłopci grabili i palili nie tylko obywateli, ale także owych chutorzan, którzy korzystając z reform Stołypina wystąpili z wiejskich wspólnot i objęli na własność uprawiane pola. Traktowano ich jakby byli socjalnymi wrogami. Poza tym nie wiadomo, w jaki sposób stołypin przeszkodził Rosji w przystąpieniu do wojny.

L.: W "Posiewie" czytalem ostatnio, że polityka proponowana przez Stołypina, tzn. reformy i wzmocnienie aparatu represji, a zwłaszcza ostrzejsze prześladowanie partii rewolucyjnych uratowałyby Rosję przed bolszewizmem. Co więcej, gdyby car zgodził się na dwa dodatkowe bataliony policji w Petersburgu, rewolucja lutowa nie zwyciężyłaby, a co za tym idzie, nie doszłoby także do październikowego zamachu stanu bolszewików. Czy takie teorie nie mają przypadkiem za sadanie znaleźć adresatów na Kremlu? Przecież Andropow zrealizował już pierwszy człon owej polityki - zaostriżł represje.

A.S.: W Związku sowieckim istnieją nawet nacjonalisci stojący bardziej na prawo od Sołżenicyna. Uważają oni, że władza sowiecka z KGB jest bardzo dobra i wszystko będzie wspaniale, trzeba tylko marksizm zamienić na prawosławie. Wszystko pozostałe należy zostawić jak jest i zacząć prawosławizację całego świata.

L.: Czy po zwycięstwie rewolucji lutowej bolszewizm był nieunikniony?

A.S.: Nie było takiej konieczności, chociaż ogólny rozpad systemu sprzyjał bolszewikom. Przyczyna ich zwycięstwa tkwiła w tym, że Rząd Tymczasowy cały czas wahał się, bardziej oczekiwał przewrotu z prawej niż z lewej. Z drugiej strony, znane są przypadki, że kiedy bolszewicy zwyciężyli, niektórzy prawnicy cieszyli się, gdyż upadł zleniwiony demokratyczny Rząd Tymczasowy, a nikt nie sądził, że komunistów długo utrzymają się przy władzy. Dlatego lepsi bolszewicy niż demokraci?

L.: Dlaczego rosyjska emigracja idealizuje przeszłość Rosji?

A.S.: Idealizuje przeszłość, ponieważ jest nacjonalistyczna. Istnieje nawet taka idea, że Rosja jest krajem okupowanym. Przez kogo? Przez bolszewików. Kim są bolszewicy? To nie Rosjanie. Na początku wiadomo: byli to Żydzi, a później tacy niegodziwcy... Cały zaś naród tylko czeka, by powrócić do przedrewolucyjnej przeszłości.

Dlatego idealizują przeszłość.

M.R.: Dlatego stwierdzenie, że przedrewolucyjna Rosja była zapóźniona w szeregu dziedzinach w porównaniu z Zachodem ich rozstróżnia: "Jak to nasza Rosja zacofana! My przecież najważniejsi, byliśmy w samej czołówce!"

A.S.: Z jednej strony odgrywa tu swoją rolę sowieckie wychowanie, a z drugiej, emigracja cały czas żyła głębokim marzeniem o starej Rosji i dlatego rysowała ją w idealistycznych barwach.

L.: Przypomina mi to czasy stalinowskie, kiedy w Polsce musiano nauczać w szkołach, że autorami wszystkich wynalazków byli Rosjanie.

A.S.: A teraz podobne idee pojawiają się w środowisku emigracyjnym.

M.R.: Rosja kraj skoni! Rosjanie starana słonow. L.: Dziękuję Panstwu za bardzo ciekawe spotkanie.

Rozmawiał Józef Darski

1. Przedruk z kwartalnika społeczno-politycznego "Libertas" nr 2-3, Paryż 1985.

/Przytaczamy za A B C, nr 4/1986/

Bohdan Urbankowski

CZŁOWIEK [12] POŚRÓD LEGEND

5.4.5. Odkrywamy w ten sposób jeszcze jeden, najwyższy wymiar czynu: działanie jednocześnie w czasie i wieczności, w rzeczywistości i legendzie. Mit wyniesiony w marszu przez Ulinę Małą ku Tatrom pozostał, oczywiście, tylko p i a n e m. Ale czynami zmieniającymi życie w szekspirowski dramat, czynami podnoszącymi czyn fizyczny do rangi czynu - mitu były wszystkie wielkie prace Piłsudskiego. Początkowo, jakby bezwiednie wpisywały się one w mit: spiaki wileńskie, syberyjska katorga, wytrwała, trauguttowska praca konspiracyjna. Od pewnego jednak momentu Piłsudski zaczyna dodawać do swych prac świadome mitotwórstwo. Trudno powiedzieć, czy początkiem tego były Bodany - zorganizowane przez Piłsudskiego tak, aby akcja z jego udziałem była pod każdym względem wzorową /najmniejsza ilość uczestników, największy łup, żadnych ofiar/, czy też wymarsz kadrówki - w dzień po przypadającej na 5 sierpnia pięćdziesiątej rocznicy śmierci Traugutta. Na pewno jednak świadomym mitotwórstwem jest cytowana już odezwa "Rządu Narodowego", wymyślona przez Piłsudskiego i opatrzona pieczęcią jego pomysłu, wzorowaną na pieczęciach z 1863 r. Odezwa ta miała znaczenie polityczne - powołuje się na tę fikcję Piłsudski niezależnie od władz galicyjskich, stawał się polskim powstańcem. Na to znaczenie nakładają się jednak wartości symboliczne: fikcyjna pieczęć wydubana szczyrykiem w kamieniu przenosiła strzelców Piłsudskiego w mit powstania 1863 r.

O tym, że wojna Piłsudskiego miała być mitycznym zżarciem klęski 1863 r., świadczy także jeszcze jeden fakt: w roku 1920, gdy Polska już odzyskała niepodległość, Piłsudski powołuje kapitułę orderu Virtuti Militari. Zebranie jej ogłasza na 22 stycznia. Tego dnia, w rocznicę wybuchu przegranej wojny powstania, Piłsudski dekretuje dowódców z wojny: Ryruje, Koca, dza-Smigięło, Hallera, Iwaszkiewicza, Roję, Koca i wielu innych. W przemówieniu odda hołd tamtym bojownikom i - głosząc chwałę ich klęski - przecięć tę klęskę przekreśli.

Walki w Legionach to także pasmo wyczynów mitotwórczych. Marsz przez Ulinę Małą nie tylko dał - na dziś - poczucie niezależności od zaborców, ale także, w wymiarze historii, był polemiką z dziejami legionów Dąbrowskiego: tamtych nie dane było walczyć na polskiej ziemi - my polskiej ziemi nie opuścimy, choćby przyszło zginąć. Boje pod Kostliuchną nad Styrem były zarazem akcją... tudowania pomników: wzgórze 195, 44 mianowane zostało "Polską Górą", pobliski las - "Polskim Lasem", ba, nawet mostek - "Polskim Mostem". Na przyczółku mostowym rzeczki Garbach /dopływ Styru/ wyrosła "Reduta Piłsudskiego", o którą rozbiły się cztery kolejne ataki Moskali. Nazwy te, a zwłaszcza "Polska Góra" wryły się w historię tak bardzo, że trzydniowy bój pod Kostliuchną nazywany jest najczęściej bojem pod Polską Górą. Osobista walka komendanta legionów w pierwszej linii /m. in. właśnie na "Reducie Piłsudskiego", jak i fakt, że ostatni wycyfrował się w czasie odwrotu - wszystko to było także adresowane do legendy. "Chciałem -

mówił Piłsudski - zachować dla siebie honor największej śmiałości pierwszych bojów strzeleckich⁵.

Skoro mowa o mitotwórstwie, czy ściśle: o auto-mitotwórstwie Piłsudskiego, nie sposób tu pominąć gestu zarzeczenia się władzy Naczelnika Państwa i odwołania wyboru na prezydenta w roku 1922. Bez względu na to, jakie motywy uboczne zagrały, był to gest wielkiej klasy: dałem wam niepodległość i odchodzę.

Do mowy wybranego prezydenta Narutowicza wygłosił Piłsudski przemówienie, które na zawsze weszło do legendy o "żołnierzu w szarym mundurze": "Jako jedyny oficer polski służby czynnej, który stał się nigdy przed nikim nie stawiał na baczność, staję oto na baczność przed Polską, którą Ty reprezentujesz, wznosząc toast: Pierwszy Prezydent Rzeczypospolitej niech żyje".

Podobny wymiar miało ostatnia narada w Ścisłej Radzie Wojskowej. Kiedy 28 czerwca 1923 r. Piłsudski zgłosił dymisję z tego ostatniego już ze swych stanowisk, zwołał zebranie Rady, na którym, jako jedyny punkt, podał zdanie służby przewodniczącego przez siebie. I... zamknął posiedzenie. Przypominało to wielką scenę z "Kordiana", podczas której car mówi tylko jedno słowo: "przysięgam". Tam chodziło o koronację - tutaj o ostateczną abdykację Naczelnika, który podawszy się do dymisji, usunął się do Sulejówka.

Ramy szkicu nie pozwalają na opis wszystkich wielkich scen Piłsudskiego, wszystkich chwil, kiedy tyciu badał technicznie wielkości 1/6. O wielkość depominal się także zsa grobu. Dwa dni po śmierci marszałka znaleziono kartkę pisaną niewyraźnym już piśmem, tak jakby ręką prowadzącego śmierć. Ta "ostatnia", a jakby już pośmiertna wola, to jeden z najdziwniejszych, najbardziej niesamowitych tekstów. W jego słowach mieści się już wszystko: choroba i wielkość, słuszna duma i ściśniona skąbość:

"Nie wiem czy nie zechcą mnie pochować na Wawelu. Niech! Niech tylko moje serce wtedy zamknięte schowają w Wilnie, gdzie leżą moi żołnierze ce w kwietniu 1919 r. maie jako wędzowi Wilno jako present po bogi rancilli.

Na kamieniu czy nagrobku wyręć motto wybrane przeze maie dla tyoia:

Gdy mogę wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła, niechaj umie
Spać, gdy żrenice czerwone od gromu

I słyehać jęk szatanów w sosen sadumie
Tak żyłem.

A zdaniem wszystkich ce maie kochali sprowadzić zwłoki mojej matki z Sugint Wilkomirskiego powiatu do Wilna i pochować matkę największego rycersa Polski nade mną. Niech dumne serce u stóp dumnej matki spoczywa. Matkę pochować z wojskowymi honorami ciałko na lawecie i niech wszystkie armaty zagrzmia salwą potęgelną i powitalną tak by szyby w Wilnie się trzęsły Matka maie do tej roli jaka maie wypadła chowata. Na kamieniu czy nagrobku Maie wyręć wiersz z Wacława Sławackiego zaczynający się od słów

Dumaj, nie szczęściem nie mogę
Przed śmiercią Maie mi kazała to po kilka razy
dla niej czytać".

6.

Pisząc o walce z Leninem, rekonstruując filozofię czynu, pamiętaliśmy, jak detąd, to, ce jest polem wszystkich czynów ludzkich - Historię. Po tym jednak, ce zostało powiedziane, bez trudu można odtworzyć wizję historii Piłsudskiego.

Przed wszystkim: czy historia jest porządkiem, rozwijającym się w sposób raz na zawsze sdeterminowany, czy też raczej chaosem, grą sił? W pierwszym przypadku obowiązywał by musiała paraliżująca formuła, że wolność to zrozumiana konieczność, walka o wolność Polski byłaby absurdem. W drugim - wolność byłaby czymś wprost proporcjonalnym do siły, a walka o niepodległość miałaby sens pod warunkiem przebudowy wolności w moc.

Piłsudski odrzuca pierwsze rozumienie historii, i to zarówno w praktyce /po prostu działając/, jak i w teorii. W prelekcji "W przeddzień rewolucji r. 1905" mówił na temat dwóch przyczyn duchowej słabości Polaków: "U nas ten duch czasu, przekonanie o niepokonanej potędze państwa, ewolucyjne pojmowanie dziejów jako nieomal mechaniczny rozwój, niewiara w czyn bezpośredni i silny, nieufność w siebie, wzmocnione zostały jeszcze przez tę specjalną niewiarę, jaka zapanowała po r. 1863. W sieniu wychowały się nasze dusze, w cieniu jaki zawsze rzucea klęska...". Walka z klęską musiała być zarówno walką z krwawym, męcząskim mitem powstania styczniowego, ale także walką z deterministyczną wizją historii. Dlatego Piłsudski nakazywał

"szukać wyzwolenia z trumiennej przeszłości" polskich legend, i dlatego nie zgadzał się na marksizm.

Piłsudski poznał zarys poglądów Marksa w początkach swej działalności w PPS - odrzucił je jednak ze względu na "abstrakcyjną logikę" i "teorię o panowaniu towaru nad człowiekiem". Nie oznaczało to, że Piłsudski nie doceniał Marksa - przeciwnie, bardzo często przeciwstawiał poziom myśli autora "Kapitału" poziomowi jego uczniów i komentatorów. Odrzucał jednak marksizm ze względu na jego konsekwencje /determinizm ekonomiczny - bierność/, poza tym wyżej stawiał czyny rzeczywiste od werbalnych, do jakich losy marksizmu się ograniczyły. Dlatego w czerwcu 1905 r., gdy na zeb-raniu OKR rozważano sprawę taktyki rewolucyjnej, wypalił: "pomimo, że uświadomienie ogromnie szanuję, sądzę, że Marksem żołnierza zabić nie można".

Odrzucając deterministyczną, ekonomiczną wizję historii Piłsudski nie wpadł jednak w drugą skrajność i nie zaczął głosić adeterminizmu. Zajął stanowisko pośrednie. Przyjmował /w szkicu "O istocie dowodzenia"/, że "istnieje coś w rodzaju wolnej woli", i że "człowiek istnieje z właściwością swobodnego wyboru swego postępowania", ale przyjmował także ograniczenie woli: wewnętrzne /wolny wybór jakiegoś celu wywołuje łańcuch działań i celowych/ oraz zewnętrzne - przez wole innych ludzi i całych narodów. Tu już mamy do czynienia z grą i walką //.

Historia jawi się więc Piłsudskiemu jako dynamiczna równowaga sił, jako proces mający swój porządek, ale i chwile rozprężenia. Pisząc, że historia Europy rozwijała się niezależnie od Polski, Piłsudski stwierdza tylko tyle, że Polska nie istniała jako siła, i że nie miała wpływu na kształt Europy. Problem w tym, jak wydobyc siłę ze społeczeństwa polskiego, i to taką, by miała wpływ jeżeli nie na decydowanie o losie świata, to przynajmniej na decyzje dotyczące losu samej Polski.

Mówiliśmy już, że Piłsudski tworzył polską siłę w praktyce - organizując robotników w PPS, potem chcąc ją partię na tory niepodległościowe, w końcu organizując OB i Legiony. Dodatkowym bodźcem miały być różnego typu prowokacje moralne i legendy. Nie znaczy to jednak, by Piłsudski miał złudzenia co do polskiej siły. Wierzył tylko, że w momencie zwarcia lub wyczerpania innych sił, nawet ta mała siła może przewążyć równowagę; bowiem w chwilach takiej równowagi nawet jednostka może przesądzić przyszłość świata. Stosunek Piłsudskiego do tych spraw najlepiej oddawały cytowane już przypowieści o trzech olbrzymach wAGONI i małym Polaku, czy o wyścigu trzech koni i musze jadącej na jednym z nich. Racjonalne jądro przypowieści jest przeciwieństwem oczywiste: jeśli się nie ma siły własnej, trzeba próbować wykorzystania cudzą.

Gdy spojrzymy od innej nieco strony na miejsce Piłsudskiego na tle sporu deterministów z indeterminalistami, musimy przyznać, że zajmuje on stanowisko dość oryginalne i jakby "z sennątrą - opisowe": wolność i konieczność to dla niego pojęcia tak samo względne i ludzkie, jak względna była "własność ludzka". Mówienie o wolności jest czynem werbalnym; w świecie będącym grą żywiołów walka ludzka łączy się wtedy, kiedy sama staje się jednym z żywiołów, kiedy z wolności potencjalnej staje się aktualną, czyli mocą. Nie odmawiając słuszności temu rozumowaniu zauważyć musimy jedno: przyjęcie takiej zewnątrz-opisowej postawy to trochę zajęcie miejsce Boga.

6.1. To, czy świat się wydaje łańcuchem konieczności czy chaosem, jest wynikiem mierzenia siły ludzkiej z innymi siłami. Mówiąc, że należy "zmierzyć ideę Polski z rzeczywistością", Piłsudski miał na myśli także to, że, nawet wtedy, kiedy w wyniku nakładania się wielkich sił, świat wydaje się łańcem - trzeba sztykować własną siłę, szkolić wojsko, bo za czas jakiś Historięmuszą "rozpręgnąć" i zarysuje się szansa zmiany. Kto nie będzie miał siły, kto nie będzie siłą - nie skorzysta z tej szansy.

Na taką właśnie szansę Piłsudski sztykował ruch strzelecki, potem organizował podziemną POW. I rzeczywiście, zdarzyło się takie "rozpręgnięcie Historii", jakiego nikt nie oczekiwał. Jednocześnie klęska trzech zaborców, potem zaś ich rozkład wewnętrzny /dwie rewolucje/ z punktu widzenia determinizmu były po prostu cudem. Ale żeby z cudu skorzystać, trzeba było mieć chociaż te 50 tysięcy powoiaków.

6.2. Jednostka jest wolna w różnym stopniu, w różnych sferach działania - bardziej w duchowej, koncepcyjnej, niż w rzeczywistej. /Dlatego np. nie wszystkie plany czy idee dają się wcielić w życie/. Liczy się jednak nie "wolność" jednostki, ale po prostu jej moc. Piłsudski przyjmuje istnienie "duszy", której zadaniem jest "tworzenie" -

co oznacza już od początku "poskramianie fantazji" i "panowanie nad sobą". A więc ograniczanie /czy raczej: "kondensowanie"/ wolności, gdyż wolność "rozigrana" nie jest siłą. Dusza zamienia wolność w siłę, podporządkowując ją jakiejś wielkiej emocji, jakimś celowi - Idee. "Wola skrupowana w łańcuchy trzymana jest na wodzy i czeka swego czasu. Wola wodza, gdy się poruszy i odrzuci łańcuchy i trwogi - zaczyna się zbawcza jej moc" /8/. Dlatego Piłsudski tak wysoko stawia czynniki "Ideowe" czy "moralne" w historii: "przekonanie o słuszności sprawy", a nawet "przekonanie o przewadze nad przeciwnikiem". Obecność lub brak tych czynników moralnych, tych niewymiernych fizycznie "imponderabiliów" decyduje czasami o zwycięstwie masy mniejszej /lecz bardziej dzięki nim energicznej/ nad pozornie większą, lecz słabszą, rozproszoną. Tak było, według Piłsudskiego, w czasach Rewolucji Francuskiej, kiedy - dzięki fanatycznej wierze - małe, źle uzbrojone grupy pokonywały regularne armie. "Imponderabilia" bowiem organizują wolność przemieniając ją w moc, pełnią rolę katalizatorów zmieniających energię potencjalną w kinetyczną. "Móc to chcieć - powie Piłsudski na przemówieniu w Grodnie /4.X.1921/ - ale chcieć tak by wszystkie części ciała były skupione w tej woli chcenia, by we wszystkich komórkach mózgu tkwił ten cel, by we wszystkich cząsteczkach krwi ta siła chcenia żyła i trwała". Jeżeli komuś skojarzy się to z autosugestią, nie będzie daleki od prawdy. Sam Piłsudski słynął z ogromnej siły woli, siły "chcenia" - od młodości uprawiał różnego rodzaju "samurajskie" ćwiczenia, potrafił kilka dni nie spać, nie odpoczywać w czasie walki, zaskakiwał także lekarzy panowaniem nad ciałem - m. in. umiejętnością przyspieszania i zwalniania pulsu /9/.

6.3. Przemiana wolności potencjalnej w aktualną polega właściwie na włączeniu imponderabiliów w rzeczywistość fizyczną, czyli na uzgodnieniu, nałożeniu na siebie czynów duchowych /i werbalnych/ z fizycznymi. Rozbieżność pracy duchowej z szeregiem czynów rzeczywistych była natomiast przyczyną klęsk nawet wtedy, gdy ogromna masa wolności potencjalnej daje ludziom szansę zwycięstwa. Tak było - według Piłsudskiego - w czasie wojny bałkańskiej 1912 r., kiedy to wojska tureckie swym tohórzliwym myśleniem przekreśliły możliwość wygranej nad Bułgarami, mimo przewagi w masie wojsk, uzbrojeniu, środkach transportu. Żołnierzowi tureckiemu zabrakło uzgodnienia tych dwóch szeregów czynności: "Gdyby mu ktoś z a g w a r a n t o - w a ł czy d o w i ó d ł, że zwycięży, ba, może- by się i bił przyzwolcie. Lecz sam z siebie ani chciał się bić, ani w skutek swych usiłowań nie wierzył. I to jest podstawową przyczyną klęsk" /"Przyczyny porażek tureckich"/.

Z rozproszonych zdań i luźnych uwag trudno zrekonstruować system filozoficzny Piłsudskiego; był on żołnierzem jak Cezar czy Napoleon, jego światopoglądem były czyny. Nie sposób jednak nie przywołać w tym miejscu jeszcze jednej myśli o wolności, nie tyle nawet myśli, co obrazu. We wspomnieniach o swoich pierwszych bojach Piłsudski ujął zależność między wolą jednostek a Historią w formie metaferycznego obrazu gór i rzeki, nad którą walczyli legionści: "Ten dziki a dziwaczny Poprad to chyba symbol mój i strzelców, ponieważ "góry przewierca". Trudno powiedzieć, czy "rzeka przewiercająca góry" to najtrafniejszy obraz losów Piłsudskiego. Czasem te góry były przebijane, czasem po prostu omijane. Ale obrazem życia wielu innych była rzeka bez śladu wiałająca w piach.

7.

Jeśli uznamy, że człowiek może w chaos historii wprowadzić jakiś porządek - po prostu jako siła panująca nad innymi siłami - to musimy od razu spytać: w imię jakich wartości. Piłsudski nie jest, rzecz jasna, nietzscheanista, nie wierzy w ślepe siły, ale uznaje siły podporządkowane organizującym je "imponderabiliom" /czyli że dopiero wartości czynią z siły potencjalnej rzeczywistość siłą/ - niemniej jednak jego koncepcja kryje w sobie pewne niebezpieczeństwo: każdy człowiek ma własną, zmieniającą się hierarchię wartości. Trzeba zatem zapytać, jakim wartościom podporządkowywał siłę Piłsudski.

Kiedy czytamy "Pisma zebrane" marszałka, zauważamy, że hierarchia występujących tam wartości jest dość trwała: przez cały czas na szczycie będzie "Niepodległość", w pierwszym okresie /do 1914 r./ na równi z "Socjalizmem", potem na miejsce tego ostatniego zjawia się bardziej ogólna, "Demokracja", czasami "Republika". Wysoko będą notowane także takie "imponderabilia", jak "Godność", "Męstwo", "Sława" czy - przede wszystkim - "Honor". Odchodząc w 1923 r. ze stanowiska szefa sztabu Piłsud-

ski przekazał oficerom tylko jedno: "Odchodząc daję panom ostatnie swoje zlecenie. Jest nim honor służby, to najsilniejsze i często najcięższe dla żołnierza uczucie". I dodał: "Honor jest jak sztandar żołnierza, z którym żołnierz roztaje się wraz z życiem. To uczucie było zawsze moim przewodnikiem... Bez honoru służba wojskowa zawsze jest bez duszy i traci siłę...".

W innym miejscu, przemawiając w Grodnie, Piłsudski powie o honorze wojskowym: jest to uczucie zmuszające człowieka do opanowania samego siebie. Mundur jest czymś co zmusza do specjalnego szacunku dla siebie. Wartość człowieka polega na umiejętności panowaniu nad sobą, które jest tym większe, im większym jest poczucie honoru". Cytat ten jest tym bardziej wymowny, że odsłania związki ukryte między takimi pojęciami, jak honor i wartość człowieka, że pokazuje, iż wolność jest siłą kierowaną sobą, aby nie kierowali nami inni. Wartości religijne natomiast /"Bóg"/, czy materialne /"Bogactwo"/ znajdują się w tej hierarchii stosunkowo nisko. Materialne nawet bardzo nisko. Piłsudski prowadził niezwykle ascetyczny tryb życia, zaś pensję, którą otrzymywał jako były Naczelnik Państwa /1000 zł/, przeznaczał zawsze w całości na cele społeczne, głównie na utrzymanie wdów i sierot po Legionistach, a także na wspomaganie Uniwersytetu Batorskiego w Wilnie. Podobnie postąpił z darami nadawanymi z zagranicy - po prostu je oddawał. Eróbował żyć z pióra, z publikacji, co dawało mu nieregularnie ok. 400 zł miesięcznie - to znaczy prawie tyle, ile wynosiło uposażenie kapitana WP.¹⁰

7.1. Stwierdzenie wysokich pozycji "Niepodległości" i "Socjalizmu" brami jak frazes, dopóki nie popatrzymy, jakie naprawdę wartości kryją się pod tymi etykietami. Zbadanie tego jest o tyle ważne, że w początkowym okresie działalności przyszłego marszałka słowa "niepodległość" i "socjalizm" są ze sobą zawsze splecione, a czasami występują ściśle. Zacytujmy w tym miejscu słynne zdanie z eseju "Jak stałem się socjalistą": "Socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju; a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce". Zdanie to, na pozór dość banalne, zyskuje dodatkowy sens, gdy zestawimy je z nieco wcześniejszym fragmentem tego tekstu, w którym Piłsudski opisuje swą reakcję na ucisk carski: "Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz a wady? że w niczym wrogom zaszkodzić nie mogą."

zmości w milczeniu deptanie w jej głąb i zaciach kłamliwych pogardliwych słów w Polsce, Polakach i ich historii, palił mi policzki. Uczucie przygnębienia, uczucie niewolnika, którego w każdej chwili jak robaka zgnieść mogą, leżało mi na sercu kamieniem młyńskim".

Dodatkowe wartości odsłaniają następujące cytaty. Pierwszy z korespondencji z Wilna z 1902 r.: "Przy szalonym, nie znającym granic, ucisku, przy którym ludzie zaledwie oddychać mogą, życie społeczeństwa podobnym jest do życia roślin w piwnicy. Jak one bez słońca i czystego powietrza tracą barwę i siłę do wzrostu, tak społeczeństwo pod nadmiernym ciężarem kossławieje i traci zdolność do szybkiego postępu. Zastój i bierność są jego udziałem. Najcięższym zaś w tych warunkach jest położenie warstw wyższych, które tylko od postępu oczekiwać mogą zmian na lepsze w swym smutnym losie. Lud pracujący, skrupowany przez dzikie prawa wyjątkowe, odpychany od źródeł wiedzy przez przesładowania narodowociośne, otoczony czujną opieką tak rządu, jak zarówno swych wyżyskiwaczy, jest rzucony na pastwę ciemnoty i wyzysku. Brak mu światła".

I drugi cytat z artykułu "Na posterunku": "Rola historyczna socjalizmu w Polsce jest rola obrońcy Zachodu od saborczego i reakcyjnego caratu".

Jeżeli przypomni sobie wcześniejsze analizy Piłsudskiego, zwłaszcza te ich fragmenty, gdzie podawał różne przykłady zniewolenia /ekonomicznego, oświatowego, religijnego itp./, główna myśl Piłsudskiego staje się oczywista. Robotnik w Polsce cierpi nie tylko /jak to jest na Zachodzie/ jako robotnik, ale także z racji pochodzenia, jako Polak. Do wyzwisku ekonomicznego dołączane zostały inne, brutalne formy zniewolenia, podeptana została godność, prawo do wiedzy, do wiary. Dlatego właśnie nie wystarczy tylko walka o wyzwolenie społeczne ani tylko walka o wyzwolenie narodowe. Nawet jeśli w takiej walce się zwycięży, przyniesie ona tylko poźwiczną wolność, więc niewolę połączoną z oszustwem. Walka o niepodległość i walka o socjalizm muszą ze sobą się łączyć, bo chodzi o pełną wolność, pełną godność człowieka. Cytowany już fragment przekonywał, jak wysoko Piłsudski ce-

niż godność. Wzmocnijmy go w tym miejscu jeszcze jednym zwierzeniem - tym razem z listu do Perla. Podejmując decyzję udziału w akcji pod Bezdanami, decyzję, która mogła przecieżyć prowadzić do śmierci, Piłsudski pisał, by nie robić z niego "człowieka poświęcenia" rozpływającego się na krzyżu dla ludzkości. "Walczę i umrę - pisał - jedynie dlatego, że w wychodku jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to u b i l i a /podkr. J.P./ - słyszysz! - zbliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą...". I dalej następują znane nam już słowa: "bez walki i to walki na ostre... jestem bydlęciem okładanym kijem... Chodzi - i to Piłsudski podkreśla - nie o jakieś "kwiatki socjalizmu", nie o "sentymentalizm", ale o zwyczajne człowieczeństwo. Podstawową wartością tego człowieczeństwa jest godność. Ta wartość jest właśnie ukryta w hasłach walki o niepodległość i walki o socjalizm. Socjalizm, który nie chroni godności jednostek, czy niepodległość, która godności tej nie zapewnia są innymi nazwami niewolnictwa.

7.2. Godność, wolność, indywidualizm otwierają w myśli Piłsudskiego ciekawą dialektykę wartości: wolność oznacza także uznanie wolności innych, wolności jak najszerszej rozumianej - stąd tolerancja. Prawnym zabezpieczeniem tolerancji może być tylko demokracja - dlatego nawet po zwycięstwie w 1926 r. Piłsudski utrzymuje parlament i instytucje demokratyczne; chce - jak powie w jednym z przemówień - rządzić w Polsce bez bata. Idee tolerancji zawazyły nad stosunkiem marszałka do innych narodowości - do Litwinów, Żydów, Białorusinów. Stanowiąc najgłębszą przesłankę myślenia Piłsudskiego zaciążyły one nad koncepcją federacyjną i nad polityką wewnętrzną. W przemówieniu po wyzwoleniu Łucka Piłsudski mówił do ludności: "Wołyn żaludnioty jest przez różne narodowości, religie i języki. Jeśli ludzie nie będą sobie okazywali szacunku i szufania, to stan dzisiejszy się nie ostanie.

Tylko współpraca wszystkich wyznań, stanów i narodowości może go utrzymać". W cytacie tym warto podkreślić szacunek dla drugiego człowieka. Ten szacunek i takie wartości, jak wolność, indywidualizm, tolerancja, to tradycyjne wartości Europy. Walka Piłsudskiego o socjalizm była także walką o Europę - przeciw Azji.

Słowo "socjalizm" może mieć różne znaczenia w zależności od tego, po której stronie granicy zostaje wypowiedziane. Analizując sytuację panującą w zaborze rosyjskim Piłsudski widział, iż oprócz celowej eksterminacji Polaków, odbywa się tam jakby eksterminacja mimowolna - zatrucie dusz polskich wartościami obcej kultury. Warto w tym miejscu zacytować fragment z wywiadu marszałka dla "Kurieru Polskiego", nie tylko ze względu na wnikliwość, ale także ze względu na jego obiektywizm i - pomimo warunków - tolerancję.

"Dla ludzi tego zwłaszcza zaboru wpływ Wschodu był fatalny. Nie chcą tego Wschodu poniżać, przedstawia on swoją własną kulturę - nie mówię, ażeby była od naszej gorsza, ale jest inna. W swej pogoni za absolutem wyklucza indywidualność, zaciera indywidualną odpowiedzialność. Takich stygmatów Wschodu jest u nas mnóstwo. Staralem się bronić społeczeństwo przed nimi /.../, szukałem czynników, które niesie za sobą rasa polska, w których się czuje dobrze, które potęgują siły jednostki i narodu. Bo cudza dusza to rzecz niebezpieczna".

Związek tych dwóch wartości: "niepodległości" i "socjalizmu" miał właśnie ratować przed tym, aby nie powstał u nas ustrój z cudzą duszą.

8.

Walka o wolność była treścią życia Piłsudskiego. Prowadził ją przez lat kilkadziesiąt: w na pół filomackiej "Spójni", w Organizacji Bojowej, w Legionach i na czele armii. Prowadził ją jako spiskowiec i jako żołnierz. I tu jest chyba źródło wielu dramatów Piłsudskiego, źródło konfliktu wartości, rozterek i sprzecznych decyzji.

Ethos spiskowo-żołnierski wyznawany, a raczej przeżywany przez ruch piłsudczykowski musiał być ethosem pełniętym. Rycerski wymóg walki z otwartą przykbią, pragnienie sławy i chwalebnej śmierci na polu bitwy nie dąży się pogodzić z wymogami konspiracji nakazującej kłamstwo, strzał z za węgla i podziemną, bezimienną walkę. Rycerski postulat w a l k i i konspiracyjne hasło p r a c y d a ż y się pogodzić werbalnie w formule o "romantyzmie celów i pozytywizmie środków" - w działalności praktycznej jednak były często źródłem konfliktów. Dlatego Piłsudski, który był w zasadzie przeciwnikiem terroru, musiał posyłać ludzi na tego rodzaju akcje i dlatego za swój obowiązek uznał uczestnictwo w akcji pod Bezdanami. Było to w jego poczu-

ciu jakby spłacenie długu.

Konieczność maskowania się i gry musiała wyrobic w spiskowcach talenty... aktorskie. Ten uboczny produkt działalności podziemnej nie jest zazwyczaj doceniany, gdy pisze się o Piłsudskim. A przecież to właśnie stanowi klucz do zrozumienia jego osobowości: on był także wielkim aktorem. Dlatego jakowe są spory o to, czy był wytworny czy brutalny, czy był prawdziwy wtedy, gdy improwizował wspaniałą, poetycką mowę o Słowackim, czy wtedy, gdy wymyślał posom od mały i fajdanów. On potrafił być takim i takim. Dlatego prawdziwe są zarówno świadectwa mówiące o Piłsudskim kłnącym i walącym pięścią w stół, jak i świadectwa mówiące o jego delikatności, wystawiane tak przez przyjaciół: "Czar niezwykły obojęcia, grzeszność, uprzejmość, przystępliwść, miła żartobliwość wymowy, wielka prostota zachowania się - wytwarzały urok, jakiemu podlegali wszyscy, którzy zbliżali się do tego współczesnego rycerza" /Sieroszewski/, jak i przez rywali:

"Nie znałem wśród ludzi publicznych grzeczniejszego u uprzejmiejszego w wyrazach i formach towarzyskich, niż Piłsudski. - Cierpliwść i wyrozumiałość, delikatność osobistą potęgowało jeszcze dobre wychowanie. Nikt nigdy nie mógł się skarżyć na brak taktu z jego strony" /Daszyński/.

Znając tę cechę charakteru zrozumiemy przynajmniej w połowie ów dziwny, charyzmatyczny wpływ Piłsudskiego na ludzi. Zwycięstwo marszałka nad Wisłą w roku 1920 nie nastąpiło pod Warszawą, ale pod Puławami. Przybywszy tam, by zgrupować wojsko i uderzyć nim na tyły wojsk radzieckich /"manewr znad wiepsza" / Piłsudski zastał ludzi zdemoralizowanych, przestraszonych, nie wierzących w zwycięstwo. Wbrew późniejszej legendzie, deseruje były zjawiskiem częstszym niż dopływ ochotników. Wówczas Piłsudski kilka dni i nocy bez przerwy... rozmawiał z żołnierzami. Nie znamy treści rozmów, ale znamy ich efekt: najpierw entuzjastyczną defiladę armii obdartaś w Firleju, potem długie, 80-kilometrowe marsze i największe w dziejach Polski zwycięstwo. Bo ciągle nie zdajemy sobie sprawy z tego, że bitwa pod Warszawą była większa niż Wiedeń czy Grunwald, i że wleceją od niej zależało.

8.1. Środowisko spiskowców żyło w świetle okaleczonych wartości rycerskich, ci ludzie byli z m u s z e n i d o p o z y t y w i z m u. Ale przez cały czas aspirowali do takich wartości, jak rycerskość i prawda, przejrystość stosunków społecznych. Kiedy tylko choć w części można było uchylic przyłbice - odżyły tłumione aspiracje. Więc przede wszystkim pragnienie odzyskania imion. Dlatego kiedy legiony ruszają do walki, Piłsudski mówi Skawkowi, że czeka ich "szawa albo śmierć", dlatego potem, jak pisze opowiadając o swych pierwszych bojach, szukał bitew, które by przyniosły "szkody nieprzyjacielowi a sławy memu oddziałowi". Pragnienie sławy łączyło się także z ostanctwijną pogardą dla śmierci - nie wiadomo, czy nie ono było jednym ze źródeł legendarnej odwagi Piłsudskiego. Odwagi, która nakazywała mu szaleńczy marsz przez Ulinę, odwagi, która kazała mu być w pierwszej linii okopów, kiedy odpierali ataki, i która kazała mu - jak kapitanowi okrętu - ostatniemu opuszczać "Redutę Piłsudskiego" i przyczołek pod Opatowcem.

Innym rysem ethosu rycerskiego jest pragnienie doskonałości. A więc szukanie godnych przeciwników, odpowiadanie na najtrudniejsze wyzwania, robenie tego czego nie dokona nikt inny. Ta doskonałość była obęsją Piłsudskiego.. Począwszy od uprawianych przezeń - podobno samurajskich - ćwiczeń woli /11/ aż po imponujące żołnierzom wyczyny, kiedy maszerował wraz z nimi i spał wraz z nimi po ziemiankach - tyle, że krócej. Kiedy wstawali rano, on był już umyty, ogolony, jakby w ogóle się nie kładł. Nie robił, rzecz jasna, takich demonstracji bez przerwy, ale - jakby się sprawdzał - pokazywał, że też to potrafi. Trud bitwy, walkę z innymi traktował jako okazję do podniesienia duszy. Tak to wreszta określał pisząc: "Istotą walki jest podniesienie duszy ludzkiej na wysoki poziom moralny". Stąd właśnie owe poszukiwanie wyzwań i stąd potem te dumne zdania, kiedy mówiąc o zdobywaniu Wilna, mówił właściwie o całej swej drodze: "Szukałem tego egzaminu, by dowieść, że co ja zrobić, tego nikt nie zdoła. Piętrzykiem trudności, szukałem nadzwyczajności, by dowieść, że mogę zwyciężyć".

Kolejny ważny rys tego ethosu to rycerskość wobec przeciwników. Piłsudski nigdy nie pozwalał zabijać bezbronnych i pokonanych - czy byli to żołnierze z pociągu pod Bezdanami, czy jeńcy pożapani w czasie potyczek pod Uliną. Nawet jeżeli - jak to się raz zdarzyło podczas przedzierania się pod Uliną - jeniec już po poddaniu się zastrzelił jednego z legionistów. Wzięci do niewoli Rosjanie

byli traktowani po rycersku, zapraszani do wspólnego stołu, czasem wypuszczani na wolność. Na taką samą rycerskość zdobył się potem Piłsudski, kiedy wypuścił tysiące jeńców radzieckich - jeszcze w czasie wojny 1920 r. i potem, kiedy po zwycięskim zamachu już 16 maja kazał wypuścić połączonych przeciwników: ditosa, kiernika, rozwadowskiego i in.

8.2. I legionisci, i spiskowcy byli ludźmi, którzy "chodzili ze śmiercią pod rękę". Jednak nie była to ta sama śmierć. Śmierć w okopach była w jakimś sensie "czystszą", a już na pewno była czymś zaszczytnym. Pogarda śmierci, ale i uroczyste pogrzeby i rozkazy ku chwale tych, którzy zginęli w bitwach, to były przestrzegane elementy rytuału śmierci. Jej obecność uczyła jednak innego stosunku do życia, jakiegoś zapczywey wręcz czułości, sentymentu dla kobiet i dzieci, tworzyła kult ogniska domowego. Ten rodzinny sentyment cechował także Piłsudskiego.

Wszelkocenna - na froncie - śmierć uczyła też innego stosunku do cywilów. Ci, którzy przelewali krew w czasie, gdy inni stali za zamkniętymi oknami, ci, którzy wywalczyli Polskę - sądzili, że są lepsi od reszty społeczeństwa. Podkreślali to na każdym kroku, podkreślał to i Piłsudski. Czy miał do tego prawo? - tak. Zgodnie z rycerskim kodeksem, w którym chwala jest najwyższą nagrodą dla rycerza, Piłsudski był oczywiście "szlachetnie dumny". Dlatego, choć to może niektórych razić, miał prawo mówić o sobie, że zrobił "to czego nikt inny by nie zdołał", miał prawo skłócić na Jawelu wieniec z napisem "Kościuszko - Piłsudski", miał prawo wrócić pisać w rozkazie po zamachu majowym: "Żołnierze, stanąłem znowu na Waszym czele jako Wasz Wódz. Znacze mnie. Bez względu na siebie stałem zawsze posród was w najcięższych wszystkich bólach i trudach, w wąkach i niepokojach. Znacze mnie i jeśli nie wszyscy kochać mnie potraficie, wszyscy musicie mnie szanować jako tego, który was do wielkich zwycięstw prowadzić potrafił, a przy ogólnym zwycięstwie i demoralizacji nie chciał i nie umiał korzystać własną pilnować lub dochodzić".

Miał prawo i wiedział o tym: "Życie moje było niepodobne nie tylko do życia mego pokolenia, ale i do życia kogokolwiek bądź w Polsce. Życie pełne bajek, które jednak były prawdziwymi, pełne niebezpieczeństw stałych dla życia... Twierdzą, że mam pewne prawo mówienia o sobie, gdyż każdy historyk, który się zetknie z tą epoką, musi mówić o mnie, czy chce czy nie, o tym obiekcie historycznym, który się nazywa Józef Piłsudski" /12/. Piłsudski i Piłsudczycy mieli prawo do "szlachetnej dumy", ale także i z tego powodu byli nienawidzeni.

8.3. Dochodzimy w tym momencie do największego dramatu: do rozczarowania do Polski. Jak już wspominalismy, Piłsudski był głównie moralistą, jako moralista wierzył w odrodzenie narodu. Najpierw, w 1914 r., sądził, że wystarzący się hasła, tymczasem... "Polacy okazali się kamieniem płesnią pokrytym a nie ładunkiem dynamitu"; potem - wracając z Magdeburga - liczył na wielkie "odrodzenie serc i sumień" - rozczarował się po raz drugi. Maród, zdeprawowany przez 120 lat niewoli, nagradzany za serwilizm i podłość, przesławowany za odwagę, naród, w którym prawo było prawem wroga, polityczną grą się zastępowały plotki - ten naród nie mógł zmienić się z dnia na dzień. Poza tym wielu miało służalcze i nieczyste sumienia - tym gorliwiej szukali pretekstu, aby opluć tych z czystym sumieniem i tym gorliwiej wierzyli w kłamstwa i potwarze.

Piłsudskiemu zarzucano prawie wszystko: że ukradł inaygnia królewskie z Jawelu, że był agentem austriackiego wywiadu, że okradał państwową kasę. On, kiedy wyjechał do Puław - zarzucano mu publicznie dezercję, byli i tacy, co wiedzieli na pewno, że wziął za to 2 miliony ruoli. Doszło do tego, że zdając urząd Marszałka Państwa, Piłsudski sądził sporządzenia inwentarza nieruchomości, przedłożenia kasy osobistej i sprawdzenia rachunków funduszu dyspozycyjnego, by nikt mu nie mógł nie zarzucić. Pamiętając o pięknym przemówieniu Piłsudskiego do Narutowicza, musimy pamiętać także i o tych żenujących żądaniach; miały one miejsce dokładnie pół godziny wcześniej. /W międzyczasie była defilada/.

Potwarcy próbowali także poniżyć Piłsudskiego w inny sposób - wyciągano na jaw szczegóły z życia prywatnego marszałka, próbowano odebrać mu zasługi w zwycięstwie 1920 r., a przypisać je... Jęzgardowi albo Rozwadowskiemu /13/.

W końcu próbowano kilkakrotnie dokonać na niego zamachu /14/. z jednym przypadkiem zamachowca zamiast niego zastrzelił prezydenta Narutowicza. To dopełniło miary obrzydzenia moralnego i było

jednym z powodów wycofania się z polityki. Ostateczne usunięcie się z życia czynnego nastąpiło w roku 1923, kiedy władzę objął ten ruch, z którego szeregów wyszedł zabójca Karutowicza.

9.

Te wartości i te rozczarowania stworzyły razem ciąg przesłanek, których wynikiem był zamach majowy. Nie zrozumie się tego dramatu, gdy nie weźmie się pod uwagę, że osiá historyczną okresu międzywojennego była walka sanacji z prawicą, głównie z Narodową Demokracją. Pierwszą rundę tej walki stoczono jeszcze w 1904 r. - Piłsudski pojechał wówczas do Japonii, by przedstawić tam swoją koncepcją prometejską. Była to najważniejsza idea polityczna Piłsudskiego: rozszerzenie imperium carów przez uwolnienie więzionych w nim narodów. /Nazwa miała podobno swe źródło w kolejnej przypowieści Piłsudskiego: jak Prometeusz przyskuby do skały musiał, by się wyzwolić, skałę tę rozłupać, tak i Polska nie będzie wolna, jeśli nie uwolnią się Łotysze, Litwini, Ukraińcy i inni/. Praywódcą endecji, Dmowski, pojechał wówczas do Tokio, by idea Piłsudskiego storpedować. Udało mu się to prawie w 100% - Japonia ograniczyła swą pomoc do... jednego stateczku z bronią. Powstanie 1904 r. nie wybuchło.

Druga runda to walka socjalistów z narodowcami o mobilizację 1905 r. Była to walka dosłowna, z browningami w rękę - skończyła się właściwie remisem. Piłsudczycy nie byli w stanie zapobiec mobilizacji, ale i endecy nie uzyskali nic za jej poparcie. Władza carska, skoro się wzmoocniła, cofnęła oświeceniową reformę i kopnęła najmocniej tych, którzy przyrzekli jej najbliższą.

Wojna 1914-1918 to także kolejna runda walki tych dwóch myśli o Polsce. Niepodległość wygrał Piłsudski, na żądanie całego narodu został Marszałkiem jak Kościuszko, ludzie z jego Konwentu stworzyli pierwszy rząd. 30 listopada 1918 r. na miejsce pierwsza kontrakcja se strony endecji. Organizatorem puczu jest Tadeusz Dymowski, który pełnił rolę marszałka; władzę, zgodnie z tajnymi planami, mają objąć Dmowski i Korfanty. Akcja ta nie spotkała się jednak z należytych poparciem chładcji, Korfanty na wszelki wypadek wyjechał z Warszawy, spiskowcy opanowali Radę Ministrów na Krakowskim Przedmieściu i - nie wiedząc co dalej zrobić - po prostu się rozsiali.

Bohdan Urbankowski

/Ciąg dalszy w następnym numerze/

5. W pisanym już w Magdeburgu szkicu pt. "Moje pierwsze boje".

6. Na prawach przypisu zacytujmy fragment wywiadu Wacława Biernackiego dla "Gazety Polskiej". Stanowi on skrótowną antologię rycerskich gestów Piłsudskiego: "Jako wódz Komendant zawsze i wszędzie był tam, gdzie było najniebezpieczniej, a więc gdzie był najpotrzebniejszy. Pod Nowym Korczynem jesienią 1914 r. przeprawił się z kilku nami na ostatnim pontonie przez Wisłę, po przeprawieniu się wszystkich żołnierzy, kiedy wskutek zmiany planu operacji Austriacy zostawili nas samych na lewym brzegu rzeki, ile uzbrojonych i bez artylerii wobec całej dywizji rosyjskiej... W odwrocie z Kielc Komendant szedł z dwoma batalionami o pół dnia marzu za całą mieszana kolumną. W odwrocie snad Styru szedł z ostatnim batalionem, leśnymi bezdrożami, nocą, prawie bez łączności".

Inny, również hagiograficzny, opis Sławoja Skłodkowskiego ukazuje, jak Piłsudski dbał nawet o szczegóły swej legendy. W "Meldunkach u Komendanta" jest m.in. opis przyjmowania przez Piłsudskiego defilady w Radomiu, w roku 1930. Pomimo deszczu Piłsudski wystąpił w roli "żelaznego Marszałka": "Stał pod deszczem razem z nami wszystkimi i nie śakował nam swego tak cennego dla Polaki zdrowia". I dalej: "Komendant mógł razem z nami /.../, trwać to przeszło godzinę". Odegrawany do końca rolę tywego posagu Piłsudski zaimponował żołnierzom, ale i przestębił się.

7. Zacytujmy w tej sprawie odpowiedni fragment wykładu "O istocie dowodzenia": "Istnieje więc coś w rodzaju wolnej woli, coś w rodzaju zaprzeczenia musowości pracy wojennej /.../, może w żadnej czynności ludzkiej tak jaszkrawo istnienie wolnej woli nie występuje jak na wojnie. Lecz z chwilą gdy rozkaz jest dany, idą z żelazną koniecznością najrozmaitsze konsekwencje /.../. Wydawanie innego rozkazu jest zaprzeczeniem wszystkim innym rozkazom. Które można było wydać".

8. Cytat z wykładu "Dowodzenie podczas wojny".

9. W literaturze poświęconej Piłsudskiemu "sita

woli" uzupełniana jest cechami nieomal nadnaturalnymi. Aleksandra Piłsudska w swych wspomnieniach o mężu podkreśla często "wpływ osobowości; jakąś siłę niezwykłą, nieokreślony magnetyzm, którym promieniował przez całe życie, naginając ludzi do siebie, nawet wbrew ich woli".

10. Warto w tym miejscu zacytować opinię politycznego konkurenta: "Oprócz właściwości państwowej miary" warto wskazać na pewne cechy osobowości Piłsudskiego jako człowieka prywatnego. Tu rzuca się w oczy jego bezinteresowność i czystość osobista. Dla Polsego wszystko, co człowiek dać może, dla siebie nie żądał niczego. Grosza nie pragnął, zaszczytów nie pożądał nigdy. Jako Naczelnik Państwa był tak marnie uposażony, że np. w miesiącu lipcu, kiedy musiał dnia 4 /święta amerykańskie/ i 14 /święta francuskie/ wydawać dwie oficjalne uczyty, pochłaniały one uposażenie całego miesiąca. Mianowany honorowym doktorem Uniwersytetu Jagiellońskiego musiał ugościć profesorów Almae Matris krakowskiej; poszła na to prawie miesięczna pensja. Na belwederkich za to kolacjach Naczelnika Państwa niemal głód był kucharzem: "Pieńiędzy nie lubię" - mówił publicznie przed zgromadzonymi posłami i notablami w Prezydium ministrów, zrzekając się kandydatury na Prezydenta. I mówił szczerą prawdę. Ileż milionów darował Polsce ten ubogi człowiek! Cały znaczny fundusz, zebrany przez przyjaciół i wielbicieli swego geniuszu, ofiarował w r. 1920 Ojczyźnie! Ileż pensji swoich przeznaczył w darze na weteranów z 1863, na sieroty po legionistach i na swoje ukochanie - Uniwersytet Wileński! /Ignacy Daszyński, Wielki człowiek w Polsce/.

11. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Piłsudski był chory na serce - za niezwykle wysiłek woli trzeba uznać też udział w akcji pod Bezdanami. Dodać trzeba, iż Piłsudski na ogół ukrywał swe dolegliwości. O jego chorobie serca wiedzieli tylko najbliżsi /m. in. Brystor, który wręcz błagał Piłsudskiego, by się z akcji bezdamskiej wycofał/; podobnie ukrywano przed wojskiem fakt odniesienia rany /w głowę/ w bitwie pod Łaskami. Być może - w pojęciu Komendanta - nadwergałoby to jego nit.

12. Cytat ten jest zestawem dwóch wypowiedzi: z Przedmowy do "Poprawek historycznych" /wydanych w 1931 r./ i z I wykładu z cyklu "Pierwsze dni Rzeczypospolitej Polskiej".

13. O planie Weyganda mówiliśmy, był on oparty na schemacie bitwy pod Marną, której główny element stanowił kontratak lewym skrzydłem, zakładał on więc oparcie się o Dąblin i Modlin i uderzenie na Rosjan z rejonu Toruń - Nieszawa. Plan Rozwadowskiego z kolei zakładał ściągnięcie się pod Warszawę i uderzenie na skrzydło rosyjskie z rejonu Garwolina. Miejscowość ta leżała jednak zbyt blisko Warszawy, by można było przeprowadzić w niej jakąkolwiek koncentrację; w związku z naporem wojsk rosyjskich każde uderzenie z tych podstaw stawało się uderzeniem czołowym.

Plan Piłsudskiego był z kolei powtórzeniem jego wcześniejszego pomysłu, kiedy to chciał zatrzymać Rosjan pod Brześciem i zaatakować ich z południa, dysponując siłami, które pod Beresteczkiem i Brodami rozbiły częściowo Budionnego. Plan ten nie został zrealizowany, gdyż Sikorski - pomimo braku nacisku i wbrew wyraźnemu rozkazowi - ewakuował już 1 sierpnia Brześć. W późniejszej wersji kontrataku Brześć został zastąpiony Warszawą, a Bug - Wisłą. Dla porządku odnotujemy tu jeszcze opinię Sosnkowskiego z artykułu "Gen. Weygand o bitwie warszawskiej". Przypisując autorstwo planu wyłącznie Józefowi Piłsudskiemu, Sosnkowski nieco inaczej przedstawia pomysły Weyganda i Rozwadowskiego.

14. Prócz nieudanego zamachu w trakcie puczu Januszajtisa, próbowano jeszcze kilku zamachów.

25.IX.1921 r. podczas otwarcia Targów Wschodnich we Lwowie odbywał się uroczysty obiad na ratuszu. Gdy Piłsudski odjeżdżał spod ratusza, Ukrainiec Stefan Fedak, syn znanego adwokata, oddał w stronę Piłsudskiego trzy strzały, zresztą niecelne. /Lekko rany został towarzyszący marszałkowi wojewoda Grabowski/. Narzutek, zgodnie z uchwalonym programem, pojechał na galowe przedstawienie do teatru, gdzie został powitany owacjami. Zamachowiec otrzymał później wyrok 6 lat więzienia.

W nocy z 12 na 13 maja ostrzelany był dom Piłsudskiego w Sulejówku. Sprawa ta, do dziś niewyjaśniona, traktowana jest przez niektórych jako prowokacja piłsudczyków, np. Stefan Arski, autor rozprawki "My Pierwsza Brygada", twierdzi, że był to chwyt propagandowy Bogusława Miedzińskiego, którego Piłsudski wysłał 11. maja z Sulejówka do Warszawy,

aby robił mu propagandę. Twierdzenie to, niestety, nie jest poparte żadnymi dowodami. Inni badacze są bardziej powściągliwi. Zwraca się często uwagę na fakt, że nie byłby to pierwszy tego rodzaju wypadek. Generał Janusz Głuchowski w relacji pt.: "Służba 7-go pułku ułanów w Sulejówku. Rok 1923-1925" pisze: "Po obrzuceniu kamieniami ogrodu Komendanta przez "studentów" ubranych w czapki Akademii Handlowej, postanowiłem dać silniejszą ochronę dla Sulejówka". Aleksandra Piłsudska dodaje na ten sam temat we "Wspomnieniach": "obrzucanie kamieniami podwórka, na którym bawiły się nasze dzieci, powtarzały się kilka razy" /sic!/

W nocy z 4 na 5 grudnia 1928 r., w wyniku strzałów oddanych pod Belwederem, zginął żandarm Stanisław Koryzma. Według kursujących później wersji miała to być prowokacja Policji Państwowej w Warszawie, mająca na celu wykazać, że ochrona Piłsudskiego przez żandarmów jest niedostateczna. Strzelającym miał być konfident policji, Franciszek Sieczka. Sprawy nie wyjaśniono, gdyż Sieczka został w jakimś czasie później zabity w strzelaninie w kawiarni Studzińskiego na Targowej.

W październiku 1930 r. udaremniłony został kolejny zamach na Piłsudskiego. Szykować go miał Piotr Jagodziński, który wróciwszy z Syberii został członkiem milicji PPS. Wraz z ośmioma towarzyszami z tej milicji przygotowywał on zamach bombowy, który miał zostać dokonany 11 października na rogu Alei Ujazdowskiej i Pl. Trzech Krzyży. Jagodziński i dwóch jego towarzyszy otrzymali roczne wyroki. Znamienna jest reakcja Piłsudskiego: 14 października demonstracyjnie jeździ otwartym autem po ulicach; następnego dnia bez obstawy w towarzystwie brata /Jana Piłsudskiego/ ogląda wystawy sklepowe na ul. Mickiewicza.

Aleksandra Piłsudska wspomina też o podejrzanych wizytach, jakie dwukrotnie składał w miejscu pracy marszałka jakiś chłop, "były żołnierz" proszący o nadział ziemi. Ow podejrzany osobnik nie został dopuszczony do Piłsudskiego przez adiutantów. Dzielnym zbiegiem okoliczności złapano go kilka dni później w Sulejówku, w nocy pod oknem willi Piłsudskiego. Towarzyszył mu jeszcze "ktoś drugi", komu udało się zbiec. Złapani natomiast tłumaczyli, że po prostu chcieli sobie "skrótć drogę" przechodząc przez ogród Piłsudskiego. Nie znaleziono przy nim niczego obciążającego, a jedynie kartkę z adresem, który należał do posta Holowacza z KPP. Śledztwo zostało umorzone.

POLSKIE AKSJOMATY

Zamierzamy na stronicach naszego pisma rozwinąć rozważania i dyskusję o tym, co jest w losie naszego narodu najbardziej niewątpliwe, fundamentalne i co można by nazwać POLSKIMI AKSJOMATAMI.

Są prawdy pewne, ale nieoczywiste, są prawdy pewne i oczywiste, ale niedostatecznie uświadomione, są także takie, których świadomość - choć ugruntowana - nie owocuje ani twórczą myślą ani przeobrażającym cy-nem. Pragniemy wyrazić i unaocznic te niepodważalne prawdy o polskiej rzeczywistości obiektywnej i subiektywnej, o sytuacji geopolitycznej i o trwałych składnikach świadomości, o siłach i możliwościach, o uwarunkowaniach wewnętrznych i zewnętrznych, o dominujących kierunkach przeobrażeń świata i Europy. Chodzi nam o wydobycie tych prawd zwłaszcza, których uprzytomnienie - choć niekiedy trudne, a nawet bolesne - okazałoby się piodne, stanowiłoby punkt wyjścia dla twórczego, oryginalnego i realistycznego myślenia o dniu dzisiejszym i o przyszłości Polaki.

Zapraszamy do udziału w rozważaniach o POLSKICH AKSJOMATACH naszych Przyjaciół, Autorów i Czytelników. Prosimy o możliwie jasne i precyzyjne formułowanie proponowanych "aksjomatów" oraz o wyróżnienie ich w tekście.

Będziemy się starali drukować wszystkie wypowiedzi. Czytelne teksty prosimy nadsyłać "odwrotnym kolportażem".

Red.

Podziękowania:

Demokraci z "S"-61,0 Witek-0,3 Tom-5,0